



2 2  
2 8  
X 4

PISMA  
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXXVIII

OGNIEM I MIECZEM  
CZĘŚĆ I.



WARSZAWA  
NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO  
(DODATEK BEZPŁATNY)  
1902

Дозволено Цензурою.  
Варшава 21 Сентября 1901 г.

# OGNIEM I MIECZEM



## ROZDZIAŁ I.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosną szarańcza w niesłychanej ilości wyroila się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogilę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które, podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padły częste deszcze. Step rozmókł i zmienił

się w wielką kalużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że — dziw nad dziwy! — w województwie Bracławskiem i na Dzikich Polach zielona ruń okryła stepy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niepokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim Polom, od których łatwiej niżli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na Polach nie działo się nic nadzwyczajnego, i nie było innych walk i potyczek, tylko te, które się odprawiały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie to już były te Pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czchrynem ode Dniepru, a od Dniestru, — niedaleko za Umaniem, a potem już hen ku limanom i morzu step i step, we dwie rzeki, jakby w ramię, ujęty. Na łuku Dnieprowym, na Niżu, wrzało jeszcze kozacze życie za porohami, ale w samych Polach nikt nie mieszkał, i chyba po brzegach tkwiły gdzieś gdzieś »polanki«, jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była *de nomine* Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczypospolita Tatarom po-



zwalala, wszakże, gdy kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojuwiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne widziały, a kto z daleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednym kołujące miejscem, to wiedział, że tam trupy lub kości niepogrzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi, jakby na wilki lub suhaki. Polował kto chciał. Człek prawem ścigan chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, lotrzyk łupu, kozak Tatara, Tatar kozaka. Bywało, że i całe watahy bronily trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od Dzikich Pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napelniała go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim jak fale czambuły tatarskie, pulki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rżenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim — rzekłbyś powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniepru stаницe i „polanki” — i gdy szlaki miały się zarość, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptac-

twą, które spłoszone przez czambuły, leciały na północ. Ale Tatar, byle wychylił się z Czarnego lasu, lub Dniestr przebył od strony wolskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimny owego ptactwo nie ciągnęło z wrzaskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej, niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwone jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzi-  
kich Pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschłych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokręgu. Niebo było już ciemne, a potem i step zwolna mroczyl się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świeciły tylko resztki murowanej stancji, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczański wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padał długi cień. Opodal świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, który w tem miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nieba dochodziły tylko klangory żorawi, ciągnących ku morzu; zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastąpiła godzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze opowiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na Dzikich Polach cienie poległych, którzy zeszli tam nagłą śmiercią w grzechu, i odprawują swoje korowody, w czem im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza. To też, gdy sznury, wskazujące północ, poczynaly się dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych. Mówiono także, że one cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc o znak krzyża świętego. Między nimi trafiały się i upiory, które gonily za ludźmi, wyjąc. Wprawne ucho zdaleka już rozeznawało wycie upiorów od wilczego. Widywano również całe wojska cieniów, które czasem zbliżały się tak do stanic, że strażę grały larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedynczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego, ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć, bo i człek żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień przed podróżnymi, dlatego często i snadnie za ducha mógł być poczytanym.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie było w tem nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej stancyi pojawił się duch czy człowiek. Miesiąc wychynał właśnie z za Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dal stepową.

Wtem niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie to wyblyskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradaly się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak i w całym tym stepie, tak spokojnym napozór. Wiatr chwilami podmuchiwał ode Dniepru, sprawiając żalosny szelest w zeschłych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Nakoniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy widać było tylko jednego jeźdźca, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał, zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczeć przeraźliwie: »Halla! halla! Jezu Chryste! ratuj! bij!« Rozległ się huk samopalów, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętent koni zmieszał się ze szczękiem żelaza. Nowi jacyś jeźdźce wyrosli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś: burza zawrzała nagle w tej cichej, złowrogiej pustyni.

Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie ucichło wszystko: walka była skończona.

Widocznie rozegrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich Polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy posiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos:

— Hej tam! skrzesać ognia i zapalić!

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie Pola wozili zawsze z sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg od kaganka, i jasrawe, padające z góry światło oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi, pochyłonych nad jakąś postacią, leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze, ubrani w barwę czerwoną, dworską, i w wilcze kapuzy. Z tych jeden, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przywozić. Zsiadłszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co, wachmistrzu? żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale chareze; arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie Tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzał uważniej na leżącego męża.

— Coś jakby hetman — rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć — odpowiedział wachmistrz. — A ot tam go trzymają.

Porucznik spojrział, i twarz mu się rozjaśniła. Obok dwóch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który, tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i poglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz? — wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty, psiawiaro, chciałbyś chrześcijaninowi konia w stepie odjąć?

— Bo zdobywczy...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Wlać mu gorzałki w gębę, — rzekł pan namiestnik — pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli łucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozesłali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się

na burce przy ognisku. Był to młody bardzo człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazyja i zadzierżystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona widocznie od dawna broda dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pacholkowie zajęli się przyrządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów, upolowanych w czasie dnia, kilka pardek i jednego suhaka, którego pachol wnet zaczął oblupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne, czerwone koło światła. Zduszony człowiek począł zwolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczyma po obcych, badając ich twarze, następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dźwignął go w górę pod pachy; drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona, żyły jej nabrzmiały. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pil i pil, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy wreszcie flaszę od ust, czystym już głosem spytał:



— W czyich jestem ręku?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu.

— W ręku tych, co wasęi salwowali.

— Przeto nie waszmościowie schwycili mnie na arkan?

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz wasę dobrych żołnierzów podejrzeniem. Złapali cię jakowis lotrzykowie, udający Tatarów, których jeślis ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wojłokową kulbakę, na której siadł i pogrążył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiędlą, bardzo ogorzalą, oczy czarne i nieco ukośne, jak u Tatara, a nad wązkiemi ustami zwieszał mu się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach we dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrnością, dobroć i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad





*A co wachmistrzu, żyje czy nie żyje?  
Żyje, panie namiestniku.*

wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostack! — mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatknąć rękę.

Nie podobala się młodemu namiestnikowi ta powaga w czleku oderzniętym przed chwilą od powroza, więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owymi lotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z powagą:

— I nie mylisz się waść i mylisz: nie mylisz się, bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie lotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tem się waść mylisz — mruknął przez zęby.

Po chwili dodał głośniejszym głosem:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu na-przód powinnej nie złożył dzięki za *auxilium*

i skuteczny ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi swoich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszmościnei ochocie.

To rzekłszy, wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie śpieszył z podaniem swojej; natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, jeżeli ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tem nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięków przyjmować mi się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazją — i słusznie mówisz. Powiniennem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcie z województwa Kijowskiego osiadły i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancerniej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść służysz. Przyjmże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprawdzie patrzali na żołnierzów z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich Polach, gdzie

takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czym zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli panu Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla cucenia, podali mu zarazem i krótką bulawę o osadzie z kości, o głowie ze ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozaccy. Przytem ubiór imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych mięs jał właśnie rozchodzić się od stosu, lehcąc nozdrza i podniebienie. Pachół wydobyl je z żaru i podał na latercynowej misie. Poczęli jeść, a gdy przyniesiono spóry worek moldawskiego wina, uszyty z kozłej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby się nam szczęśliwie do domu wróciło! — rzekł pan Skrzetuski.

— To waszmość wracasz? skądże proszę? — spytał Abdank.

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cóż waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkowniku; jeździłem do samego chana.

Abdank nastawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę, w piękną waść wszedłeś komitywę! I z czymże do chana jeździlesz?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował! O cóż jegomość ksiązę do chana pisał?

Namiestnik popatrzał bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku, — rzekł — zaglądałeś w oczy lotrzykom, którzy cię na arkan ujęli — to twoja sprawa; ale co ksiązę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą, — odparł chytrze Abdank — że jegomość ksiązę tak młodego człowieka posłem sobie do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperyencyą i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego węża i pytał:

— A powiedzże mi waszmość, co porabiasz nad Omełniczkiem i jakieś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, który tam jest przełożonym nad prezydyum, i do którego jegomość hetman wielki wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc, pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z nimi nie od dziś, a to, co mię spotkało, to jest złość ludzka i *invidia*.

— I któż to na jegomości tak nastaje?

— Długo by gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancją mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbil, — i ot — widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moją nastawał.

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posępnie i odrzekł zwolna a dobitnie:

— Noszę, i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętent koni, a raczej pośpieszne chlupotanie końskich nóg po rozmięklej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika, trzymający straż, nadbiegł z wieścią, że jakowis ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi, — rzekł Abdank — którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spodziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła

półokręgiem wzgórze. Przy blasku ognia ukazywały się głowy końskie z otwartymi chrapami, prychające ze zmęczenia, a nad nimi pochylone twarze jeźdźców, którzy, przyslaniając rękoma od blasku oczy, patrzali bystro w światło.

— Hej, ludzie! kto wy? — spytał Abdank.

— Raby boże! — odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi molojce — powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika. — Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli, batku. *Szczo s toboju?*

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innymi. Musiał podążyć dobrze przede mną. Na arkan mnie ujęli!

— *Spasi Bih! spasi Bih!* A to co za Laszek koło ciebie?

Tak mówiąc, spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszków.

— To druchy dobre — rzekł Abdank. — Sława Bogu, całym i żywym. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna, choć pogodna. Było



ich ze czterdziestu, ludzi rosłych i dobrze zbrojonych. Nie wyglądali wcale na kozaków rejestrowych, co niepomalu zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mocno podejrzanem. Gdyby hetman wielki wysłał imci Abdanka do Kudaku, dalby mu przecie strażę z rejestrowych, a powtóre z jakiejżeby racyi kazał mu iść stepem do Czehryna, nie wodą? Konieczność przeprawiania się przez wszystkie rzeki, idące Dzikimi Polami do Dniepru, mogła tylko pochód opóźnić. Wyglądało to raczej tak, jakby imć p. Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba p. Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że kozacy, którzy ze swymi pułkownikami obchodzili się dość poufale, jego otaczali czeią niezwyczajną, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tem dziwniejsze było panu Skrzetuskiemu, że znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o takim przesławnym Abdanku nie słyszał. Było przytem w twarzy tego męża coś szczególnego — jakaś moc utajona, która tak biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczem się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał księżę Jeremi Wiśnio-



wiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.

Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyrokiem ścigan, chronił się w Dzikie Pola — to znów, że to watażka watahy zbójcekiej; ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka pokazywały co innego. Zgola więc nie wiedział namiestnik czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał konia sobie podawać.

— Mości namiestniku, — rzekł — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować sobie raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odplacić ci równą usługą!

— Nie wiedziałem, kogo ratuję, przetom i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestya to twoja tak mówi, która jest męstwu równa. Przyjmijże ode mnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił, mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej, z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie:

— Spójrzysz jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z Ziemi Świętej po-

wracał. W tem oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby z osądzonych rąk pochodził. Jesteś wać młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość blizka grobu nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencya, która, mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi! Pierścień ten ustrzeże cię od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie Pola.

Nastala chwila ciszy; słyhać było tylko syzczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żalosne wyście wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze, jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie Pola, a gdy nadejdzie — *zadywytsia wsij swit bożyj...*

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową, ciemną.

Potem zwrócił się zwolna i siadł na koń. Molojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę!... Bywaj zdrów, druhu żołnierzu! — rzekł do namiestnika. — Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział,

- Więc waść nie Abdank?
- To klejnot mój...
- A nazwisko?
- Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekłszy, zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli molojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy odjechali już z pól stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

- Oj wyzwoly, Boże, nas wsich, bidnych newilnykiw,
- Z tiażkoj newoli,
- Z wiry bisurmanskoj, —
- Na jasni zori,
- Na tychi wody,
- U kraj weselyj,
- U mir chreszczennyj. —
- Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,
- U neszczasnych molytwach,
- Nas bidnych newilnykiw.

Głosy cichły zwolna, potem stopiły się z powiewem szumiącym po oczeretach.

## ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz zrana, przybywszy do Czehryna, pan Skrzetuski stanął w mieście w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytchnienie po długiej z Krymu podróży, którą z przyczyny wez-

brania i nadzwyczaj bystrych prądów na Dnieprze, trzeba było łodem odbywać, gdyż żaden bajdak nie mógł owej zimy płynąć pod wodę. Sam też Skrzetuski zażył nieco wczasu, a potem szedł do pana Zaćwilichowskiego, byłego komisarza Rzplitej, żołnierza dobrego, który nie służąc u księcia, był jednak jego zaufanym i przyjacielem. Namiestnik pragnął się go wypytać, czy niema jakich z Łubniów dyspozycji. Książę wszelako nic szczególnego nie polecił; kazał Skrzetuskiemu, w razie gdyby odpowiedź chanowa była pomyślna, wolno iść, tak, aby ludzic i konie mieli się dobrze. Z chanem zaś miał książę taką sprawę, że chodziło mu o ukaranie kilku murzów tatarskich, którzy własnowolnie puścili mu w jego zadnieprzańskie państwo zagony, a których sam zresztą srodze zbil. Chan rzeczywiście dał odpowiedź pomyślną: obiecał przysłać osobnego posła na kwiecień, ukarać nieposłusznych, a chcąc sobie zyskać życzliwość tak wslawionego jak książę wojownika, posłał mu przez Skrzetuskiego konia wielkiej krwi i szлык soboli. Pan Skrzetuski, wywiązawszy się z niemałym zaszczytem z poselstwa, które już samo było dowodem wielkiego książęcego faworu, bardzo był rad, że mu w Czehrynie zabawić pozwolono i nie naglono z powrotem. Natomiast stary Zaćwilichowski wielce był zafrasowany tem, co działo się od niejakiemu



czasu w Czehrynie. Poszli tedy razem do Dopuła, Wołocha, który w mieście zajazd i winiarnię trzymał, i tam, choć była godzina jeszcze wczesna, zastali szlachty huk, gdyż to był dzień targowy, a oprócz tego w tymże dniu wypadł w Czehrynie postój bydła pędzonego ku obozowi wojsk koronnych, przyczem ludzi nazbierało się mnóstwo. Szlachta zaś gromadziła się zwykle w rynku, w tak zwanym Dzwonieckim Kącie u Dopuła. Byli tam więc i dzierżawcy Koniecpolskich, i urzędnicy czehryńscy, i właściciele ziem poblizkich, siedzący na przywilejach, szlachta osiadła i od nikogo niezależna, dalej urzędnicy ekonomii, trocha starszyzny kozackiej i pomniejszy drobiazg szlachecki, bądź to na kondycjach żyjący, bądź na swoich futorach.

Ci i tamci pozajmowali ławy, stojące wedle długich dębowych stołów, i rozprawiali głośno, a wszyscy o ucieczce Chmielnickiego, która była największym w mieście ewenementem. Skrzetuski więc z Zaćwilichowskim siedli sobie w kącie osobno, i namiestnik począł wypytywać, coby to za feniks był ten Chmielnicki, o którym wszyscy mówili.

— To waść nie wiesz? — odpowiedział stary żołnierz. — To jest pisarz wojska Zaporoskiego, dziedzic Subotowa i — dodał ciszej — mój kum. Znamy się dawno. Bywaliśmy w różnych potrzebach, w których niemało dokazywał, szcze-

gólnie pod Cecorą. Żołnierza takiej eksperyencyi w wojskowych rzeczach nie masz może w całej Rzeczypospolitej. Tego się głośno nie mówi, ale to hetmańska głowa: człek wielkiej ręki i wielkiego rozumu; jego całe kozactwo słucha więcej, niż koszowych i atamanów, człek niepozabawiony dobrych stron, ale hardy, niespokojny, i gdy nienawiść weźmie w nim górę — może być straszny.

— Co mu się stało, że z Czehryna umknął?

— Koty ze starostką Czaplińskim darli, ale to furda! Zwyczajnie szlachcie szlachcicowi z nieprzyjaźni sadła zalewał. Nie jeden on, i nie jednemu jemu. Mówią przytem, że żonę starostce balamucil: starostka mu kochanicę odebrał i z nią się ożenił, a on mu ją za to później balamucil, a to jest podobna rzecz, bo zwyczajnie... kobieta lekka. Ale to są tylko pozory, pod którymi głębsze jakieś praktyki się ukrywają. Widzisz waść, rzecz jest taka: w Czerkasach mieszka stary Barabasza, pułkownik kozacki, nasz przyjaciel. Miał on przywileje i jakoweś pisma królewskie, o których mówiono, że kozaków do oporu przeciw szlachcie zachęcały. Ale że to ludzki, dobry człek, trzymał je u siebie i nie publikował. Owóż Chmielnicki, Barabasz na ucztę zaprosiwszy, tu do Czehryna, do swego domu, potem posłał ludzi do jego futoru, którzy pisma i przywileje u żony podebrali — i z nimi

umknął. Strach, by z nich jaka rebelia, jako była Ostranicowa, nie korzystala, bo *repto*: że to czlek straszny, a umknął niewiadomo dokąd.

Na to pan Skrzetuski:

— A to lis! w pole mnie wywiódł. Powiadał się pułkownikiem kozackim ks. D. Zasławskiego. Toć ja jego tej nocy na stepie spotkałem i od arkana uwolniłem!

Zaćwilichowski aż się za głowę porwał.

— Na Boga, co waść powiadasz? Nie może to być!

— Może być, kiedy było. Powiadał mi się pułkownikiem u ks. D. Zasławskiego i że do Kudaku, do pana Grodzickiego od hetmana wielkiego jest posłany, alem już temu nie wierzył, gdyż nie wodą jechał, jeno się stepem przekradał.

— To czlek chytry, jak Ulises! I gdzieżeś go wać spotkał?

— Nad Omelniczkiem, po prawej stronie Dnieprowej. Widno do Siczy jechał.

— Kudak chciał minąć. Teraz *intelligo*. Ludzi siła było przy nim?

— Było ze czterdziestu. Ale za późno przyjechali. Gdyby nie moi, byliby go słudzy starostki zdławili.

— Czekałże waszmość. To jest ważna rzecz. Słudzy starostki mówisz?

— Tak sam powiadał.



— Skądże starostka mógł wiedzieć, gdzie jego szukać, kiedy tu w mieście wszyscy głowy tracą, nie wiedząc, gdzie się podział?

— Tego i ja wiedzieć nie mogę. Może też Chmielnicki zelgał i zwykłych lotrzyków na sług starostki kierował, by swoje krzywdy tem mocniej afirmować.

— Nie może to być. Ale to jest dziwna rzecz. Czy waszmość wie, że są listy hetmańskie, przykazujące Chmielnickiego łapać i *in fundo* zadzierżyć?

Namiestnik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł do izby jakiś szlachcic z ogromnym hałasem. Drzwiami trzasnął raz i drugi, a spojrzawszy hardo po izbie, zawołał:

— Czołem waszmościom!

Był to człek czterdziestoletni, niski, z twarzą zapalczywą, której to zapalczywości przydawały jeszcze bardziej oczy, jakby śliwy na wierzchu głowy siedzące, ruchliwe — człek widocznie bardzo żywy, wichrowaty i do gniewu skory.

— Czołem waszmościom! — powtórzył głośniej i ostrzej, gdy mu zrazu nie odpowiadano.

— Czołem, czołem — ozwało się kilka głosów.

Był to pan Czapliński, podstarości czehryński, sługa zaufany młodego pana chorążego Konicpolskiego.

W Czehrynie nie lubiono go, bo był zawa-  
dyaka wielki, pieniacz, prześladowca, ale miał



niemniej wielkie plecy, przeto ten i ów z nim politykował.

Zaćwilichowskiego jednego szanował, jak i wszyscy, dla jego powagi, cnoty i męstwa. Ujrzawszy go, wnet też zbliżył się ku niemu, i skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskiemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu.

— Mości starosto, — spytał Zaćwilichowski — czy wiesz co się dzieje z Chmielnickim?

— Wisi, mości chorąży, jakem Czapliński, wisi, a jeśli dotąd nie wisi, to będzie wisiał. Teraz, gdy są listy hetmańskie, niech jedno go dostanę w swoje ręce.

To mówiąc, uderzył pięścią w stół, aż plyn rozlał się ze szklenic.

— Nie wylewaj waćpan wina! — rzekł pan Skrzetuski.

Zaćwilichowski przerwał:

— A czy go wać dostaniesz? Przecie uciekł, i nikt nie wie, gdzie jest?

— Nikt nie wie? Ja wiem, jakem Czapliński! Waszmość, panie chorąży, znasz Chwedka. Owóz Chwedko jemu służy, ale i mnie. Będzie on Judaszem Chmielowi. Siła mówić. Wdał się Chwedko w komitywę z molojcami Chmielnickiego. Człek sprytny. Wie o każdym kroku. Podjął się mi dostawić żywym czy zmarłym i wyjechał w step równo przed Chmielnickim,



*Młody namiestnik obrócił go w palcach i idąc ku drzwiom między ławami wołał...*

wiedząc, gdzie ma go czekać!... A didków syn przeklęty!

To mówiąc, znowu w stół uderzył.

— Nie wylewaj waćpan wina! — powtórzył z przyciskiem pan Skrzetuski, który dziwną jakąś awersyę uczuł do tego podstarościego od pierwszego spojrzenia.

Szlachcie zaczął się czerwienić, błysnął swemi wypukłemi oczyma, sądząc, że mu dają okazyję, i spojrzał zapalczywie na Skrzetuskiego, ale ujrzawszy na nim barwę Wiśniowieckich, zmitygował się, gdyż jakkolwiek chorąży Koniecpolski wadził się wówczas z księciem, wszelako Czehryn zbyt był blisko Łubniów, i niebezpiecznie było barwy książęcej nie uszanować.

Książę też i ludzi dobierał takich, że każdy dwa razy pomyślał, nim z którym zadarł.

— Więc to Chwedko podjął się waci Chmielnickiego dostawić? — pytał znów Zaćwili-chowski.

— Chwedko. I dostawi, jakem Czapliński.

— A ja waci mówię, że nie dostawi. Chmielnicki zasadzki uszedł i na Sicz podążył, o czym trzeba pana Krakowskiego dziś jeszcze zawiadomić. Z Chmielnickim niema żartów. Krótko mówiąc, lepszy on ma rozum, tęższą rękę i większe szczęście od waci, który zbyt się zapalasz. Chmielnicki odjechał bezpiecznie, powtarzam waci, a jeśli może nie wierzysz, to ci to ten ka-

waler powtórzy, który go wczoraj na stepie widział i zdrowym go pożegnał.

— Nie może być! nie może być! — wrzeszczał, targając się za czuprynę, Czapliński.

— I co większa, — dodał Zaćwilichowski — to ten kawaler tu obecny sam go salwował i waścinych sług wygubił, w czem, mimo listów hetmańskich, nie jest winien, bo z Krymu z poselstwa wraca i o listach nie wiedział, a widząc czleka przez lotrzyków, jak sądził, w stepie oprymowanego, przyszedł mu z pomocą. O którym to wyratowaniu się Chmielnickiego wcześniej waci zawiadamiam, bo gotów cię z Zaporozcami w twojej ekonomii odwiedzić, a snadź nie byłbyś mu rad bardzo. Nadtoś się z nim warcholił. Tfu do licha!

Zaćwilichowski nie lubił także Czaplińskiego.

Czapliński zerwał się z miejsca, i aż mu mowę ze złości odjęło; twarz tylko sponsowiała mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wyłaziły. Tak stojąc przed Skrzetuskim, puszczał tylko urywane wyrazy:

• — Jak to! waść mimo listów hetmańskich!...  
Ja waści... ja waści...

A pan Skrzetuski nie wstał nawet z ławy, jeno wsparłszy się na łokciu, patrzył na podskakującego Czaplińskiego, jak raróg na uwiązanego wróbla.

— Czego się waść mnie czepiasz, jak rzep psiego ogona? — spytał.

— Ja waści do grodu z sobą... Waść mimo listów... Ja waści kozakami!...

Krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego. Szukał on okazji zawsze, bo taka była jego natura, robił burdy każdemu, kogo napotkał, ale to zastanowiło wszystkich, że teraz zaczął przy Zaćwilichowskim, którego jednego się obawiał, i że zaczął z żołnierzem, noszącym barwę Wiśniowieckich.

— Zamilknij-no waszeć — rzekł stary choraży. — Ten kawaler jest ze mną.

— Ja wa... wa... waści do grodu... w dyby! — wrzeszczał dalej Czapliński, nie uważając już na nic i na nikogo.

Teraz pan Skrzetuski podniósł się także całą wysokością swego wzrostu, ale nie wyjmował szabli z pochew, tylko jak ją miał spuszczoną nisko na rapciach, chwycił w środku i podsunął w górę, tak, że rękojeść z krzyżykiem poszła pod sam nos Czaplińskiemu.

— Powąchaj-no to waść! — rzekł zimno.

— Bij, kto w Boga!... Służba! — krzyknął Czapliński, chwytając za rękojeść.

Ale nie zdążył szabli wydobyć. Młody namiestnik obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za hajdawery poniżej

krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak cyga i, idąc ku drzwiom między ławami, wołał:

— Panowie bracia, miejsce dla rogala, bo pobodzie!

To rzekłszy, doszedł do drzwi, uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę.

Potem spokojnie usiadł na dawnym miejscu obok Zaćwilichowskiego.

W izbie przez chwilę zapanowała cisza. Siła, jakiej dowód złożył pan Skrzetuski, zaimponowała zebranej szlachcie. Po chwili jednak cała izba zatrzęsa się od śmiechu.

— Vivant Wiśniowiecczycy! — wołali jedni.

— Omdlał, omdlał i krwią oblan! — krzyczeli inni, którzy zaglądali przeze drzwi, ciekawi co też pocznie Czapliński. — Słudzy go podnoszą!

Mała tylko liczba stronników podstarościego milczała i, nie mając odwagi ująć się za nim, spoglądała ponuro na namiestnika.

— Prawdę rzekłszy, w piętę goni ten ogar — rzekł Zaćwilichowski,

— Kundys to, nie ogar — rzekł, zbliżając się gruby szlachcic, który miał bielmo na jednym oku, a na czole dziurę wielkości talara, przez którą świeciła naga kość. — Kundys to, nie ogar! Pozwól waść, — mówił dalej, zwracając się do Skrzetuskiego — abym mu służby



moje ofiarował. Jan Zagłoba herbu Wczele, co każdy snadno poznać może, choćby po onej dziurze, którą *w czele* kula rozbójnicka mi zrobiła, gdym się do Ziemi Świętej za grzechy młodości ofiarował.

— Dajże waść pokój! — rzekł Zaćwilichowski! — powiadałeś przecie, że ci ją kuflem w Radomiu wybito!

— Kula rozbójnicka, jakom żyw! W Radomiu było co innego.

— Ofiarowałeś się waść do Ziemi Świętej... może, aleś w niej nie był, to pewna.

— Nie byłem, bom już w Galacie palmę męczeńską otrzymał. Jeśli lżę, jestem arcypies, nie szlachcic.

— A *taki* breszesz i breszesz!

— Szelmą jestem bez uszu. W wasze ręce, panie namiestniku!

Tymczasem przychodzili i inni, zabierając z panem Skrzetuskim znajomość i afekt mu swój oświadczając, nie lubili bowiem ogólnie Czaplińskiego i radzi byli, że go taka spotkała konfuzya. Rzecz dziwna i trudna dziś do zrozumienia, że tak cała szlachta w okolicach Czehryna, jak i pomniejsi właściciele slobód, dzierżawcy ekonomii, ba! nawet ze służby Koniecpolskich, wszyscy, wiedząc, jako zwyczajnie w sąsiedztwie, o zatargach Czaplińskiego z Chmielnickim, byli po stronie tego ostatniego. Chmiel-

nicki bowiem miał sławę znamienitego żołnierza, który niemale zasługi w różnych wojnach położył. Wiedzano także, że sam król się z nim znosił i wysoce jego zdanie cenił, na cale zaś zająście patrzano tylko jak na zwykłą burdę szlachcica ze szlachcicem, jakich to burd na tysiące się liczyło, zwłaszcza w ziemiach ruskich. Stawano więc po stronie tego, kto sobie więcej przychylności zjednać umiał, nie przewidując, by z tego takie straszliwe skutki wyniknąć miały. Później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu, ale zarówno serca szlachty i duchowieństwa obydwóch obrządków.

Przychodzili tedy do pana Skrzetuskiego z kwartami, mówiąc: »Pij, panie bracie! Wypij i ze mną! — Niech żyją Wiśniowiecczycy! Taki młody, a już porucznik u księcia. Vivat księżę Jeremi, hetman nad hetmany! Z księciem Jeremim pójdziemy na kraj świata! — Na Turków i Tatarów! — Do Stambulu! Niech żyje miłościwie nam panujący Władysław IV!« Najgłośniej zaś krzyczał pan Zagłoba, który sam jeden gotów był cały regiment przepić i przegadać.

— Mości panowie! — wrzeszczał, aż szyby w oknach dzwoniły! -- pozwalem ja już jego mości sultana do grodu za gwałt, którego się na mnie w Galacie dopuścił.



— Nie powiadajże waćpan lada czego, żeby ci się gęba nie wystrzępila!

— Jak to, mości panowie? »Quatuor articuli iudicii castrensis: struprum, incendium, latrocinium et vis armata, alienis aedibus illata«, — a czyż nie była to właśnie *vis armata*?

— Krzykliwy z waści gluszec.

— I choćby do trybunału pójde!

— Przestańże wasze...

— I kondemnatę uzyskam, i bezecnym go ogłoszę, a potem wojna, ale już z infamisem.

— Zdrowie waszmościów!

Niektórzy wszelako śmieli się, a z nimi pan Skrzetuski, bo mu się z czupryny trochę kurzyło, szlacheć zaś tokował dalej, naprawdę jak gluszec, który się własnym głosem upaja. Na szczęście, dyskurs jego przzerwany został przez innego szlacheć, który, zbliżywszy się, pociągnął go za rękaw i rzekł śpiewnym litewskim akcentem:

— Poznajomijże waćpan, mości Zagłobo, i mnie z panem namiestnikiem Skrzetuskim... poznajomijże!

— A i owszem, i owszem. Mości namiestniku, oto jest pan Powsinoga.

— Podbipięta — poprawił szlacheć.

— Wszystko jedno! herbu Zerwipludry...

— Zerwikaptur — poprawił szlacheć.

— Wszystko jedno. Z Psichkiszek.

— Z Mysikiszek — poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. *Nescio*, cobym wołał, czy mysie, czy psie kiszki. Ale to pewna, że-  
bym w żadnych mieszkać nie chciał, bo to  
i osiedzieć się tam nie łatwo i wychodzić nie-  
politycznie. Mości panie! — mówił dalej do Skrze-  
tuskiego, ukazując Litwina: — Oto tydzień już  
piję wino za pieniądze tego szlachcica, który  
ma miecz za pasem równie ciężki jak trzos,  
a trzos równie ciężki jak dowcip. Ale jeśli-  
m pil-  
kiedy wino za pieniądze większego cudaka, to  
pozwolę się nazwać takim kpem, jak ten, co mi  
wino kupuje.

— A to go' objechał! — wołała, śmiejąc się,  
szlachta.

Ale Litwin nie gniewał się, kiwał tylko ręką,  
uśmiechał się łagodnie i powtarzał:

— At, dalbyś waćpan pokój... słuchać hadko!

Pan Skrzetuski przypatrywał się ciekawie  
tej nowej figurze, która istotnie zasługiwała na  
nazwę cudaka. Przedewszystkiem był to mąż  
wzrostu tak wysokiego, że głową prawie powały  
dosięgał, a chudość nadzwyczajna wydawała go  
wyższym jeszcze. Szerokie jego ramiona i żyła-  
sty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była  
na nim tylko skóra i kości. Brzuch miał tak  
wpadły pod piersią, że możnaby go wziąć za  
głodomora, lubo ubrany był dostatnio, w szarą  
opiętą kurtę ze świebodzińskiego sukna, z wąż-

kimi rękawami, i wysokie szwedzkie buty, które na Litwie zaczynały wchodzić w użycie. Szeroki i dobrze wypchany losiowy pas, nie mając na czem się trzymać, opadał mu aż na biodra, a do pasa przywiązany był krzyżacki miecz, tak długi, że temu olbrzymiemu mężowi prawie do pachy dochodził.

Ale ktoby się miecza przelał, wnetby się uspokoił, spojrzawszy na twarz jego właściciela. Była to twarz chuda, również jak i cała osoba, ozdobiona dwiema zwisłemi ku dołowi brwiami i parą tak samo zwisłych konopnego koloru wąsów, ale tak pocziwa, tak szczerza, jak u dziecka. Owa obwisłość wąsów i brwi nadawała jej wyraz stroskany, smutny i śmieszny zarazem. Wyglądał na czleka, którego ludzie popychają, ale panu Skrzetuskiemu podobał się z pierwszego wejrzenia za ową szczerłość twarzy i doskonały moderunek żołnierski.

— Panie namiestniku, — rzekł — to waszmość od księcia pana Wiśniowieckiego?

— Tak jest.

Litwin ręce złożył jak do modlitwy i oczy podniósł w górę.

— Ach, co to za wielki wojownik! co to za rycerz! co to za wódz!

— Daj Boże Rzeczypospolitej takich jak najwięcej.

— I pewno, i pewno! A czyby nie można do niego pod znak?

— Będzie waści rad.

Tu pan Zagłoba wtrącił się do rozmowy:

— Będzie miał książkę dwa rożny do kuchni: jeden z waćpana, drugi z jego miecza, albo najmie waści za mistrza, albo każe na wasanu zbójów wieszać, lub sukno na barwę będzie waspanem mierzył! Tfu, jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim jak *serpens*, lub jak pogańska włócznia!

— Słuchać hadko — rzekł cierpliwie Litwin.

— Jakże też godność waszeci? — spytał pan Skrzetuski: — bo gdyś mówił, pan Zagłoba tak waści podrywał, że z przeproszeniem nie nie mogłem zrozumieć.

— Podbipięta.

— Powsinoga.

— Zerwikaptur z Mysikiszek.

— Masz babo pociechę! Piję jego wino, ale kpem jestem, jeśli to nie pogańskie imiona.

— Dawno waść z Litwy? — pytał namiestnik.

— Ot już dwie niedziele w Czehrynie. Dowiedziawszy się od pana Zaćwilichowskiego, że waść tędy ciągnąć będziesz, czekam, by pod jego opieką księciu moje prośby przedstawić.

— Powiedzże mi waszmość, proszę, bom ciekaw, czemu też taki katowski miecz pod pachą nosisz?

— Nie katowski to, mości namiestniku, ale krzyżacki, a noszę, bo zdobyczny i dawno w rodzie. Już pod Chojnicami służył w litewskich rękach — tak i noszę.

— Ale to sroga machina i ciężka musi być okrutnie — chyba do obu rąk?

— Można do obu, można do jednej.

— Pokażże wasze.

Litwin wydobyl i podał, ale panu Skrzetuskiemu ręka zwisała odrazu. Ni się złożyć, ni cięcia wymierzyć swobodnie. Na dwie ręce poradził, ale jeszcze było ciężko. Więc pan Skrzetuski zawstydzil się trochę i, zwróciwszy się do obecnych, rzekł:

— No, mości panowie, kto krzyż uczyni?

— My już próbowali — odrzekło kilka głosów. — Jeden pan komisarz Zaćwilichowski podniesie, ale krzyża i on nie uczyni.

— No, a waćpan? — pytał pan Skrzetuski, zwracając się do Litwina.

Szlacheć podniósł miecz jak trzcinę i machnął nim kilkanaście razy z największą łatwością, aż powietrze warezalo w izbie, a wiatr powiał po twarzach.

— A niechże waści Bóg sekunduje! — zawołał Skrzetuski. — Pewną masz służbę u księcia pana!

— Bóg widzi, że jej pragnę, bo mi miecz w niej nie zardzewieje.

— Ale dowiej do reszty, — rzekł pan Zagłoba — gdyż nie umiesz waść tak samo nim obracać.

Zaćwilichowski wstał, i obaj z namiestnikiem zabierali się do odejścia, gdy naraz wszedł do izby biały jak gołąb człowiek i, spostrzegłszy Zaćwilichowskiego, rzekł:

— Mości chorąży, komisarzu, ja tu do pana umyślnie!

Był to Barabasz, pułkownik ezerkaski.

— To chodźże waszmość do mnie na kwatere — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już się tak ze łbów kurzy, że i świata nie widać.

Wyszli razem, a Skrzetuski z nimi. Zaraz za progiem Barabasz spytał:

— Czy niema wieści o Chmielnickim?

— Są. Uciekł na Sicz. Oto ten oficer spotkał go wczoraj na stepie.

— To nie wodą pojechał? Pchnąłem gońca do Kudaku, by go łapano, ale jeśli tak, to na próżno.

To rzekłszy, Barabasz zatknął rękoma oczy i poczał powtarzać:

— Ej! spasi Chryste! spasi Chryste!

— Czego waść trwożysz?

— A czy waszmość wiesz, co on mi zdradą wydarł? Czy wiesz, co to znaczy takie dokumenta w Siczy opublikować? Spasi Chryste! Je-

śli król z bisurmanem wojny nie uczyni, to iskra na prochy...

— Rebelią waszmość przepowiadasz?

— Nie przepowiadam, bo ją widzę, a Chmielnicki lepszy od Nalewajki i Łobody.

— A kto za nim pójdzie?

— Kto? Zaporozę, rejestrowi, mieszczenie, czerń, futornicy — i tacy ot!

Tu pan Barabasza wskazał na rynek i uwi-  
jających się po nim ludzi. Cały rynek za-  
pehany był wielkimi siwymi wolami, pędzonymi  
ku Korsuniowi dla wojska, a przy wolach szedł  
mnogi lud pastuszy, tak zwani czabanowie, któ-  
rzy całe życie w stepach i pustyniach spędzali —  
ludzie zupełnie dzicy, niewyznający żadnej re-  
ligii — *religionis nullius*, jak mówił wojewoda  
Kisiel. Spostrzegales między nimi postacie po-  
dobniejsze do zbójów, niż do pasterzy, okrutne,  
straszne, pokryte lachmanami rozmaitych ubio-  
rów. Większa ich część przybrana była w to-  
łuby baranie, albo w niewyprawne skóry, welną  
na wierzch, rozchelstane na przedzie i ukaz-  
ujące, choć była to zima, nagą pierś, spaloną od  
wiatrów stepowych. Każdy zbrojny, ale w naj-  
rozmaitszą broń: jedni mieli łuki i sajdaki na  
plecach, niektórzy samopały, albo tak zwane  
z kozacka «piszczele», inni szable tatarskie, inni  
kosa lub wreszcie tylko kije z przywiązaną na  
końcu szczęką końską. Między nimi kręcili się



niemniej dżicy, choć lepiej zbrojni niżowcy, wiozący do obozu na sprzedaż rybę suszoną, zwierzynę i tłuszcz barani; dalej czumacy z solą, stepowi i leśni pasiecznicy, oraz woskoboje z miodem, osadnicy leśni ze smolą i dziegciem; dalej chłopci z podwodami, kozacy rejestrowi, Tatarzy z Białogrodu i Bóg wie kto — włóczęgi — «siromachy» z końca świata. W całym mieście pełno było pijanych, w Czehrynie bowiem wypadła nocleg, więc i hulatyka przed nocą. Na rynku rozkładano ognie, gdzieś palila się beczka ze smolą. Zewsząd dochodził gwar i wrzaski. Przeróżliwy głos piszczalek tatarskich i bębenków mieszał się z ryczeniem bydła i z lagodniejszymi głosami lir, przy których wtórze ślepcy śpiewali ulubioną wówczas pieśń:

»Sokole jasnyj,  
Brate mij ridnyj,  
Ty wysoko letajesz,  
Ty daleko widajesz«.

A obok tego rozlegały się dzikie okrzyki: »hu! ha! — hu! ha!« kozaków, tańczących na rynku trepaka, pomazanych dziegciem i pijanych zupełnie. Wszystko to razem było dzikie i rozszalałe. Dość było Zaćwilichowskiemu jednego spojrzenia, by się przekonać, że Barabasz miał słuszość, że lada podmuch mógł rozpętać te niesforne żywioły, skłonne do grabieży, a przy-

wykle do boju, których pełno było na całej Ukrainie. A poza tymi tłumami stała jeszcze Sicz, stało Zaporozże, od niedawna okiełznane i w karby po Masłowym Stawie ujęte, ale grzące niecierpliwie munsztuk, pomne dawnych przywilejów, nienawidzące komisarzy, a stanowiące uorganizowaną siłę. Siła ta miała przecie za sobą sympatyę niezmiernych mas chłopstwa, mniej cierpliwego niż w innych Rzplitej stronach, bo mającego pod bokiem Czertomelik, a na nim bezpaństwo, rozbój i wolę. Więc pan chorąży, choć sam Rusin i gorliwy wschodniego obrządku stronnik, zadumał się smutno.

Jako człek stary, pamiętał dobrze czasy Nalewajki, Łobody, Kremskiego, znał ukraińskie rozbójnictwo lepiej może niż ktokolwiek na Rusi, a znając jednocześnie Chmielnickiego, wiedział, że on wart dwudziestu Łobodów i Nalewajków. Zrozumiał tedy całe niebezpieczeństwo jego na Sicz ucieczki, zwłaszcza z listami królewskimi, o których pan Barabasz powiadał, że były pełne obietnic dla kozaków i zachęcające ich do oporu.

— Mości pułkowniku czerkaski, — rzekł do Barabasza — powinienbyś waszmość na Sicz jechać, wpływy Chmielnickiego równoważyć i pacyfikować, pacyfikować!

— Mości chorąży, — odparł Barabasz — powiem tylko tyle waszmości, że na samą wieść o ucieczce Chmielnickiego z papierami, połowa

moich czerkaskich ludzi dzisiejszej nocy także na Sicz za nim zbiegła. Moje czasy już minęły — mnie mogiła, nie bulawa!

Rzeczywiście, Barabasza był żołnierz dobry, ale człowiek stary i bez wpływu.

Tymczasem doszli do kwatery Zaćwilichowskiego; stary chorąży odzyskał już trochę pogody umysłu, właściwej jego gołębiej duszy, i gdy zasiedli nad półgarncówką miodu, rzekł raźnie:

— Wszystko to furda, jeśli, jak mówią, wojna z bisurmanem *pracparatur*, a podobno, że tak i jest, bo choć Rzeczpospolita wojny nie chce i niemają już sejmy królowi krwi napsuły, wszelako król może na swoim postawić. Cały ten ogień można będzie na Turka obrócić, a w każdym razie mamy przed sobą czas. Ja sam pojedę do pana Krakowskiego i zdam mu sprawę i będę prosił, by się jako najbliżej ku nam z wojskiem przymknął. Czy co wskóram, nie wiem, bo chociaż to pan mężny i wojownik doświadczony, ale okrutnie w swoim zdaniu i swoim wojsku dufny. Waść, mości pułkowniku czerkaski, trzymaj w ryzie kozaków — a waszeć, mości namiestniku, po przybyciu do Łubniów ostrzeż księcia, by na Sicz baczność obrócił. Choćby mieli co począć — *repeto*: mamy czas. Na Siczy teraz ludzi niewiele: za rybą i za zwierzem się porozchodzili i po całej Ukrainie we wsiach siedzą. Nim się ściagną, dużo

wody w Dnieprze uplynie. Przytem imię księcia straszne, i gdy się zwiedzą, że na Czertomelik oczy ma obrócone, może będą cicho siedzieli.

— Ja z Czechryna choćby we dwóch dniach ruszyć gotowy — rzekł namiestnik.

— To i dobrze. Dwa i trzy dni nie nie znaczą. Waszmość, panie Czerkaski, pchnij też gońców z oznajmieniem sprawy do pana chorążego koronnego i do księcia Dominika. Ale waszmość już spisuj, jak widzę?

Rzeczywiście Barabasz złożył ręce na brzuchu i zdrzemnął się głęboko; po chwili nawet chrapać zaczął. Stary pułkownik, gdy nie jadł i nie pił, co oboje nad wszystko lubił, to spał.

— Patrz waszeć — rzekł cicho do namiestnika Zaćwilichowski: — i przez takiego to starca warszawscy statyści chcieliby kozaków w ryzie utrzymać. Bóg z nimi. Ufali też i samemu Chmielnickiemu, z którym kanclerz w jakoweś układy wchodził, a który podobno srode ufność zawiedzie.

Namiestnik westchnął na znak współczucia. Barabasz zaś chrapał silniej, a potem mruknął przez sen:

— Spasi Chryste! spasi Chryste!

— Kiedyż waść myślisz z Czechryna ruszyć? — spytał chorąży.

— Wypada mi ze dwa dni Czaplińskiemu

poczekać, który pewnie będzie chciał konfuzyi, jaka go spotkała, dochodzić.

— Nie uczyni tego. Prędejbym na waści sług swoich nasłał, gdybyś barwy książęcej nie nosił — ale z księciem zadrzeć straszna rzecz, nawet dla sługi Koniecpolskich.

— Oznajmię mu, że czekam, a w dwa lub w trzy dni ruszę. Zasadzki też nie obawiam się, mając przy boku szablę i garść ludzi.

To rzekłszy, namiestnik pożegnał starego chorążego i wyszedł.

Nad miastem świeciła tak jasna luna od stosów nalożonych na rynku, że rzekłbyś cały Czehryn się pali, a gwar i krzyki wzmogły się jeszcze z nastaniem nocy. Żydzi nie wychylali się wcale ze swych domostw. W jednym kącie tłumy czabanów wyły posępne pieśni stepowe. Dzicy Zaporozcy tańczyli koło ognisk, rzucając w górę czapki, paląc z »piszczeli« i pijąc kwartami gorzałkę. Tu i owdzie zrywała się bijaćka, którą uśmierzali ludzie starostki. Namiestnik musiał torować sobie drogę rękojęścią szabli i, słuchając tych wrzasków i szumu kozaczego, chwilami myślał sobie, że to już rebelia tak przemawia. Zdawało mu się także, że widzi groźne spojrzenia i słyży ciche, zwracane ku sobie klątwy. W uszach brzęczały mu jeszcze słowa Barabasza: »Spasi Chryste, spasi Chryste!« i serce bilo mu żywiej.

A tymczasem w mieście czabanowie zawodzili coraz głośniej chorowody, a Zaporozcy palili z samopałów i kąpali się w gorzałce.

Strzelanina i dzikie »u-ha! u-ha!« dochodziły do uszu namiestnika nawet wówczas, gdy już położył się spać w swojej kwaterze.

*na dnia 11-III / 39.*

### ROZDZIAŁ III.

W kilka dni później, poczet naszego namiestnika posuwał się rażno w stronę Łubniów. Po przeprawie przez Dniepr, szli szeroką drogą stepową, która łączyła Czehryn z Łubniami, idąc na Żuki, Semi-Mogily i Chorol. Drugi taki gościniec wiódł ze stolicy książęcej do Kijowa. Za dawniejszych czasów, przed rozprawą hetmana Żółkiewskiego pod Solonicą, dróg tych nie było wcale. Do Kijowa jechało się z Łubniów stepem i puszczą; do Czehryna była droga wodna — z powrotem zaś jeżdżono na Chorol. Wogóle zaś, owe naddnieprzańskie państwo — stara ziemia polowiecka — było pustynią, mało co więcej od Dzikich Pól zamieszkaną, przez Tatarów często zwiedzaną, dla watah zaporoskich otwartą.

Nad brzegami Suly szumiały ogromne, prawie stopą ludzką niedotykane lasy — miejscami po zapadłych brzegach Suly, Rudej, Slepородu,

Korowaja, Orżawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków, tworzyły się mokradła, zarosłe częścią gęstwina krzów i borów, częścią okryte, pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytulek zwierz wszelkiego rodzaju; w najgłębszych mrokach leśnych żyła moc niezmierna turów brodatych, niedźwiedzi i dzikich świń, a obok nich liczna szara gawiedź wilków, rysiów, kun, stada sarn i kraśnych suhaków; w bagniskach i łąkach rzecznych bobry zakładały swoje żeremia, o których to bobrach chodziły wieści na Zaporozu, że są między nimi stuletnie starce, białe jak śnieg ze starości.

Na wysokich, suchych stepach bujały stada koni dzikich, o kudlatych głowach i krwawych oczach. Rzeki roily się rybą i ptactwem wodnem. Dziwna to była ziemia, nawpół uśpiona, ale nosząca ślady dawniejszego życia ludzkiego. Wszędzie pełno popieliszcz po jakichś przedwiecznych grodach; same Łubnie i Chorol były z takich popieliszcz podniesione; wszędzie pełno mogił, nowszych i starszych, porosłych już bo-rem. I tu, jak na Dzikich Polach, nocami wstawały duchy i upiory, a starzy Zaporozcy opowiadali sobie przy ognisku dziwy o tem, co się czasami działo w owych głębinach leśnych, z których dochodziły wycia niewiadomo jakich zwierząt, krzyki pół-ludzkie, pół-zwierzęce, gwary



straszne, jakoby bitew lub łowów. Pod wodami odzywały się dzwony potopionych miast. Ziemia była mało gościnna i mało dostępna, miejscami zbyt rozmiękła, miejscami cierpiąca na brak wód, spalona, sucha, a do mieszkania niebezpieczna, osadników bowiem, gdy się jako tako osiedli i zagospodarowali, ścierały napady tatarskie. Odwiedzali ją tylko często Zaporozcy dla ogonów bobrowych, dla zwierza i ryby, w czasie bowiem pokoju większa część niżowców rozlazila się z Sieczy na lowy, czyli, jak mówiono na »przemysł«, po wszystkich rzekach, jarach, lasach i komyszach, bobrując w miejscach, o których istnieniu nawet mało kto wiedział.

Jednakże i życie osiadłe próbowało uwiązać się do tych ziem, jak roślina, która próbuje, gdzie może, chwycić się gruntu korzonkami, i raz wraz wyrywana, gdzie może, odrasta.

Powstawały na pustkach grody, osady, kolonie, slobody i futory. Ziemia była miejscami żyzna, a nęciła swoboda. Ale wtedy dopiero zakwitło życie, gdy ziemie te przeszły w ręce kniaziów Wiśniowieckich. Książ Michał, po ożenieniu się z Mohylanką, począł starowniej urządzać swoje zadnieprzańskie państwo; ściągał ludzi, osadzał pustki, zapewniał swobody do lat trzydziestu, budował monastera i wprowadzał prawo swoje książęce. Nawet taki osadnik, który przymknął do tych ziem niewiadomo kiedy i są-

dział, że siedzi na własnym gruncie, chętnie scho-  
dził do roli kniaziowego czynszownika, gdyż za-  
ów czynsz szedł pod potężną książęcą opiekę,  
która go ochraniała, broniła od Tatarów i od  
gorszych nieraz od Tatarów — niżowców. Ale  
prawdziwe życie zakwitło dopiero pod żelazną  
ręką młodego księcia Jeremiego. Za Czehrynem  
zaraz zaczynało się jego państwo, a kończyło  
het aż pod Konotopem i Romnami. Nie stano-  
wilo ono całej kniaziowej fortuny, bo od woje-  
wództwa Sandomierskiego począwszy, ziemie jego  
leżały w województwach Wołyńskiem, Ruskiem,  
Kijowskiem, ale naddnieprzańskie państwo było  
okiem w głowie zwycięzcy z pod Putywła.

Tatar długo czyhał nad Orłem, nad Worską  
i wietrzył jak wilk, nim ośmielił się na północ  
konia popędzić; niżowcy nie próbowali za-  
targu. Miejscowe niespokojne watahy poszły  
w służbę. Dziki i rozbójniczy lud, żyjący daw-  
niej z gwałtów i napadów, teraz ujęty w karby,  
zajmował »polanki« na rubieżach i, leżąc na  
granicach państwa, jak brytan na łańcuchu,  
groził zębem najeźdźcy.

Toż zakwitło i zaroilo się wszystko. Pobu-  
dowano drogi na śladach dawnych gościńców;  
rzeki ujęto groblami, które sypał niewolnik Ta-  
tar lub niżowiec, schwytany z bronią w ręku  
na rozboju. Tam, gdzie niegdyś wiatr grywał  
dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i to-

pielcy, teraz hurkotały młyny. Przeszło czterysta kół, nie licząc rzęsiście rozsianych wiatraków, mello zboże na samem Zadnieprzu. Czterdzieści tysięcy czynszowników wnosilo czynsz do kas książęcych, lasy zaroily się pasiekami, na rubieżach powstawały wsie coraz nowe, futory, slobody. Na stepach, obok tabunów dzikich, pasły się cale stada swojskiego bydła i koni. Nieprzejrzany, jednostajny widok borów i stepów ubarwił się dymami chat, złoconemi wieżami cerkwi i kościołów — pustynia zamieniła się w kraj dość ludny.

Jechał tedy pan namiestnik Skrzetuski wesolo i nie śpiesząc się, jakoby swoją ziemią, mając po drodze wszelkie wczasy zapewnione. Był to dopiero początek stycznia 48 roku, ale dziwna, wyjątkowa zima, nie dawała się wcale we znaki. W powietrzu tchnęła wiosna; ziemia rozmiękla i przeświecała wodą roztopów; na polach zieleniała ruń, a słońce dogrzewało tak mocno, że w podróży o południu kożuchy prażyły grzbiet jak latem.

Orszak namiestnika zwiększył się znacznie, w Czehrynie bowiem przyłączyło się do niego poselstwo wołoskie, które gospodar do Łubniów wysłał w osobie p. Rozwana Ursu. Przy poselstwie było kilkunastu karalaszków eskorty i wozy z czeladzią. Prócz tego z namiestnikiem jechał nasz znajomy pan Longinus Podbipięta herbu

Zerwikaptur, ze swoim długim mieczem pod pachą i z kilkoma czeladzi służbowej.

Słońce, cudna pogoda i woń zbliżającej się wiosny napawały weselością serca, a namiestnik tem był weselszy, że wracał z długiej podróży pod dach książęcy, który był zarazem jego dachem, wracał, sprawiwszy się dobrze, więc i przyjęcia dobrego pewny.

Ale weselość jego miała i inne powody.

Oprócz łaski księcia, którego namiestnik z całej duszy kochał, czekały go w Łubniach jeszcze i pewne czarne oczy, tak słodkie jak miód.

Oczy te należały do Anusi Borzobohatej-Krasińskiej, panienki respektowej księżny Gryzeldy, najpiękniejszej dziewczyny z całego fraucymeru, bałamutki wielkiej, za którą przepadali wszyscy w Łubniach, a ona za nikim. U księżny Gryzeldy mores był wielki i surowość obyczajów niepomiarowa, co jednak nie przeszkadzało młodemu spoglądać na się jarzącymi oczyma i wzdychać. Pan Skrzetuski posyłał tedy swoje westchnienia ku czarnym oczom na równi z innymi, a gdy bywało zostawał sam w swojej kwaterze, wówczas chwytal lutnię w rękę i śpiewywał:

•Tyś jest specyał nad specyał•...

lub też:

•Jak tatarska orda,  
Bierzesz w jasyr *corda*!•

Ale że to był człek wesoly i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamięlowany, więc nie brał zbyt do serca tego, że Anusia uśmiechała się tak samo do niego, jak i do pana Bychowca z chorągwi wołoskiej, jak do pana Wurela z artyleryi, jak do pana Wołodyjowskiego z dragonów, a nawet do pana Baranowskiego z husaryi, chociaż ten ostatni był już dobrze szpakowaty i szeplenil, mając podniebienie potrzaskane kulą z samopału. Nasz namiestnik bil się już nawet raz z panem Wołodyjowskim w szablę o Anusię, ale gdy przyszło za długo siedzieć w Łubniach bez jakowejś wyprawy na Tatarów, to sobie nawet i przy Anusi przykrzył, a gdy przyszło ciągnąć — to ciągnął z ochotą, bez żalu, bez wspominku.

Za to też i witał z radością. Teraz więc oto, wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, podśpiewywał wesolo i czwanił koniem, jadąc obok pana Longinusa, który, siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiony był i smutny jak zwykle. Wozy poselstwa, karalasze, eskorta zostały znacznie za nimi.

— Jegomość posel leży na wozie jak kawał drzewa i śpi ciągle — rzekł namiestnik. — Cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyźnie, aż i ustał. Jam też słuchał z ciekawością. Niema

co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakaliów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz książę rodzi się z Mohylanki, i że ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw przecie książę Michal dochodził. Nie nowina to naszym paniętom Wołoszczyzna. Bijali już tam i Turków, i Tata-rów, i Wołochów, i Siedmiogrodzian...

— Ale lud tam miększy niż u nas, o czym mi i pan Zagłoba w Czehrynie opowiadał, — rzekł pan Longinus — a gdybym jemu nie wierzył, to wtedy w książkach od nabożeństwa potwierdzenie tej prawdy się znajduje.

— Jakto w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości pokazać, bo ją zawsze wożę ze sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy i, wydobywszy niewielką książeczkę, starannie w cięę oprawioną, naprzód ucałował ją pobożnie, potem przewróciwszy kilkanaście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— »Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...« Gdzież zaś tu jest o Wołochach? co waść mówisz! — to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— »...Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych. Amen«.

— No, a teraz pytanie...

Skrzetuski czytał:

— »Pytanie: Dlaczego jazda wołoska zowie się lekką? Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen«. — Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest materji pomieszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite *instructiones militares* są przyłączone, z których nauczysz się waść o wszystkich nacyach, która z nich zacniejsza, która podła; co do Wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwe z nich pacholki, a przytem zdrajcy wielcy.

— Że zdrajcy, to pewna, bo pokazuje się to i z przygód księcia Michała. Co prawda, to i ja słyszałem, iż żołnierz to z przyrodzenia nieszcześliwy. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale *stricte* to w owej wołoskiej chorągwi nie wiem, czy i dwudziestu Wołochów się znajduje.

— Jak też waszmość myślisz, panie namiestniku, siła książę ma ludzi pod bronią?

— Będzie z ośm tysięcy, nie licząc kozaków, co po palankach stoją. Ale powiadał mi Zaćwilichewski, że teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jakową wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z Turczy-



nem się gotuje, i że sam król z całą potęgą Rzplitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki Tatarom są wstrzymane, którzy przecie od strachu nie śmieją zagonu ruszyć. O tem słyszałem i w Krymie, gdzie bodaj dlatego przyjmowano mnie \*tak *honeste*, bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, księżę ma na Krym uderzyć i całkiem Tatarów zetrzeć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże, Boże miłosierny, daj takową świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej wota moje spełnić, abym *in luctu* mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć!

— To waść ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkaną duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnego skłaniasz, przeto *incipiam*: Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój, Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszych kapturach, w szeregu jadących, zajechawszy ich, ściał wszystkich trzech odrazu, o którym to sławnym czynie stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie lżejszą miał on przodek od waści

rękę, ale i słusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnem polu, na pamiątkę owych rycerzy, gdyż takie same głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb, wraz z tym tu oto mieczem, przodek mój Stowejko Podbipięta przekazał potomkom swoim z zaleceniem, by starali się splendor rodu i miecza podtrzymać.

— Niema co mówić, z grzecznego rodu waszmość pochodzisz!

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Pannie żyć w czystości i nie prędzej stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego, Stowejki Podbipięty, trzech głów tym samym mieczem od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny, widzisz, żem wszystko uczynił, co było w mocy mojej! Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czulemu milczeć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem...

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściałeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niema! Po

dwie nieraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno prosić wrogów, by się ustawili równo do cięcia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale *adolescencia* uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrywa, ród ginie, a trzech głów jak niema, tak niema!... Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i Panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł znowu tak wzdychać, że aż i jego inflancka kobyla, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałością.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć, — rzekł namiestnik — iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazji, to chyba nigdy.

— Daj Boże! — odparł pan Longinus. — Dlatego i jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jako się rzekło, zimy tej ptastwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególnie wodnego ptastwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem zbliżyli się do brzegu Kaharliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żóravi, które przeciągały tak nisko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wrzaskiem okrutnym i za-

miast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkną, jakby gonione — rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waść — rzekł pan Longinus, ukazując białego ptaka, który tnąc powietrze ukośnym lotem, starał się podlecieć pod stado.

— Raróg, raróg! przeskadza im zapaść! — wołał namiestnik. — Posel ma rarogi — musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dzianecie, a za nim kilku karalaszków służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę — rzekł.

— Czy to raróg waszej cześci?

— Tak jest, i zacny bardzo, zobaczysz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za nimi Wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwivszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę, potem sam wzbił się jak błyskawica jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żórawie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza skrzydłami. Groźne wrzaski napelniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby jak włócznie i czekały ataku.

Raróg tymczasem krążył nad nimi. To zniżał się, to podnosił, jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało sto ostrych dziobów. Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczały jak samo słońce na pogodnym błękanie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus poszli za jego przykładem.

Wtem na skrócie drogi namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W pośrodku gościńca leżała na boku kolaska ze zlaną osią. Odprężone konie trzymało dwóch kozaczków. Woźnicy nie było wcale, widocznie odjechał w celu szukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłym dnem, twarzy surowej, męskiej; druga była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej pani siedział spokojnie raróg i, rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dziobem.

Namiestnik osadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki zmieszany i nie wiedzący, co ma mówić: czy witac, czy o raroga się dopominać? Zmieszany

był jeszcze i dlatego, że z pod kuniego kapturka spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział, czarne, aksamitne, a lżawe, a mieniące się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgasłyby jak świeczki przy pochodniach. Nad temi oczyma jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. »Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?« — pomyślał namiestnik, widząc ten wzrost strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokola na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwytало go coś, jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów: »Jeśliś jest śmiertelną istotą, a nie bóstwem...« — gdy w tej chwili nadszedł posel i pan Longinus, a z nimi sokolnik z obręczą. Co widząc, bogini nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik, uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panfy, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni, i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku

sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie przeszło, rarów zaś dopiero wtedy dał się przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A wtem starsza pani poczęła wyrzekać:

— Rycerze! — mówiła — ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą, co począć. Do domu nam już nie dalej niż trzy mile, ale w kolasce osie popękały, i chyba nam nocować w polu przyjdzie; woźnicę posłałam do synów, by nam choć wóz przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik aż się zadziwił, wszelako odrzekł grzecznie:

— Nie dopuszczajże jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy, i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byle się nasza asystencya nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszami po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie nimi pani i jejmościance służyć będzie.



Posel uchylił sobolowego kołpaka, gdyż znając mowę polską, zrozumiał o co idzie i zaraz z pięknym komplementem, jako grzeczny bojar, wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik patrzył na pannę, która pożerczego wzroku jego znieść nie mogąc, opuściła oczy na ziemię, a dama o kozackiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imé panom za pomoc. A że do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniaziu Kurcewiczu Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, który sierotę swą nam na opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdzie się do ołtarza Świętej-Przeczystej ofiarowałam. Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale wtem zdała pokazały się wozy, nadjeżdżające klusem, wśród gromady karalaszków poselskich i żołnierzy pana Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniaziu Wasilu Kurcewiczu? — spytał namiestnik.

— Nie! — zaprzeczyła żywo i jakby gniew-

liwie kniahini. — Jam wdowa po Konstantynie, a to jest córka Wasila, Helena — rzekła, wskazując pannę.

— O kniaziu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michala zaufany.

— W Łubniach nie byłam — rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa — i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępkach niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słyszając to, kniaziówna Helena zwiesiła głowę na piersi, jak kwiat podcięty kosą, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Książ Wasil, przez straszliwy *error* sprawiedliwości ludzkiej skazany na utratę gardła i mienia, musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgowano i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większą być powinna, im większą była krzywda.

Kniahyni spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem ostrem obliczu gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć człowiek młody, tyle miał w sobie jakowejś powagi rycerskiej i tak jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny:

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przelożone na wozy, na których z pozwoleniem ich mościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie — rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwiczek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się, i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować... — rzekła głosem, który namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fleatów — jakże mam dziękować, żeś się za sławę ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa panno! — odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jako śnieg na wiosnę. — Tak mi Pan Bóg dopomóż, jakobym dla takiej podzięki w ogień skoczyć gotowy, albo zgola krew przelać, ale gdy ochota tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której małości nie godzi mi się dziękczynnego żoldu z ust imć panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako uboga sierota nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim, — mówił ze wzra-

stającą siłą namiestnik — ale na tak wielki fawor zarobić długą i wierną służbą pragnę i o to tylko proszę, abys mnie imć panna przyjąć na ową służbę raczyła.

Kniaziówna, słysząc te słowa, zapłonila się, zmieszała, potem przybladła nagle i, ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żalonym głosem:

— Niestety chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolaski i tak mówił z cicha a tkliwie:

— Przyniesie co Bóg da, a choćby też i ból, przeciwnie ja do nog waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być, rycerzu, abys waćpan, dopiero mnie ujrzawszy, tak wielką miał do onej służby ochotę.

— Ledwie cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniat i widzę, że wolnemu dotad żołnierzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka widać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś przeszywa, i oto czuję jej grot, choć wczoraj sambym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeślibys waszmość wczoraj nie wierzył, jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę?

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczerości, choćby zaraz, nietylko w słowach, ale i w obliczu dopatrzeć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczu kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał męskie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała już wzroku ku ziemi, i przez chwilę on pil słodycz jej cudnych oczu. I patrzali na siebie, jak dwie istoty, które spotkawszy się choćby na gościńcu na stepie, czują, że się wybrały odrazu, i których dusze poczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie, jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahyni Konstantowej, wołający na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karalasze poczęli przenosić na nie pakunki z kolaski, i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rozwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski, namiestnik siadł na koń, ruszono w drogę.

Dzień też miał się już ku spoczynkowi. Rozlane wody Kabarliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmurek, które, czerwieniejąc, stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokregu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznanej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić, jak przed chwilą, przy obcych nie mógł,

a blahe słowa nie chciały mu się przez usta precisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszała się rażno naprzód, a ciszę przerywały tylko parskanie koni, lub brzęk strzemienia o strzemię. Potem karalasze poczęli na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali, a natomiast rozległ się nosowy głos pana Longina, śpiewającego pobożnie: *Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustająca i jako mgła — pokryłam wszystką ziemię.* Tymczasem ściemniało. Gwiazdki zamigotały na niebie, a z wilgotnych łąk wstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętent koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniaziowie, którzy zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej spotkanie, prowadząc z sobą wóz, zaprzężony w cztery konie.

— Czy to wy, synkowie? — wołała stara kniahyni.

Jeźdźcy przybliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Bywajcie! Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy. To moi synkowie, których polecam łasce MM. panów: Symeon, Jur, Andrzej i Mikołaj — a to kto piąty? — rzekła,





— *Ledwie Cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniał.*



przypatrując się pilniej — hej! jeśli stare oczy widzą po ciemku, to Bohun — co?

Kniaziówna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam, kniahyni, i wam, kniaziówno Heleno! — rzekł piąty jeździec.

— Bohun! — mówiła stara. — Od pułku przybyłeś, sokole? A z teorbarem? Witajże, witaj! Hej, synkowie! Prosiłam już I. M. panów na nocleg do Rozlogów, a teraz wy im się pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ich-nościowie na nasz dom laskawi.

Bułyhowie uchyłili czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w nizkie progi.

— Już mi też obiecali i jego wysokość pan poseł i Imć pan namiestnik. Zacnych kawalerów będziemy przyjmowali, tylko, że przywykłym do specyałów na dworach, nie wiem, czyli będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowani — rzekł pan Skrzetuski.

A pan Rozwan Ursu dodał:

— Próbowalem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahyni mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły lepsze dla nas czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze

Kurcewicze, którzy pocztę trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci biedniejszych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarże. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościo-  
wie musicie wybaczyć i szczerem sercem przy-  
jąć to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu sy-  
nów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu sło-  
bodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na  
opiece.

Namiestnika zdziwiły te słowa, gdyż słyszał  
w Łubniach, że Rozłogi były niemalą fortuną  
szlachecką, a powtóre, że należały ongi do knia-  
zia Wasila, ojca Heleny. Nie zdało mu się jed-  
nak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem  
przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów? —  
zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów, — rzecze knia-  
hini — ale najstarszemu Wasilowi poganie  
w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od  
czego mu też i rozum się nadwreżył. Gdy mło-  
dzi pójdą na wyprawę, ja sama w domu zo-  
staję, z nim tylko i z jejmościanką, z którą  
większa bieda niż pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahyni mó-  
wila o swej synowicy, tak był widoczny, że  
nie uszedł uwagi porucznika. Pierś mu zawrzała  
gniewem, i o mało nie zaklął szpetnie, ale słowa  
zamarły mu na ustach, gdy spojrzawszy na

kniaziównę, ujrzał przy świetle księżyca oczy jej zalane łzami...

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniaziówna milczała.

— Ja nie mogę znieść lez waćpanny — mówił pan Skrzetuski, i pochylił się ku niej, a widząc, że stara kniahyni rozprawia z p. Rozwanem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegał dalej: — Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, że i krew i zdrowiebym oddał, byle ciebie pocieszyć.

Nagle uczuł, że jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, że aż konie poczynają się trzeć bokami.

Rozmowa z kniaziówną była przerwana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i rozgniewany, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy świetle księżyca ujrzał dwoje oczu, które patrzyły na niego zuchwale, wyzywająco i szyderczo zarazem.

Straszne te oczy świeciły jak ślepie wilka w ciemnym borze.

»Co u kaduka? — pomyślał namiestnik — bies czy co?« — i z kolei zajrzawszy z bliska w te palające źrenice, spytał:

— A czego to waść tak koniem najeżdżasz i oczyma we mnie wiercisz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzył wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeśli ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeśli gościeńiec za ciasny, to hajda w step! — rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlitaj, Laszku, od kolaski, koły step baczysz — odparł jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, zamiast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczupaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu, i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahyni:

— Bohun, szczo z toboju!

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młynćem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahyni, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej, ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach — bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź wozy, bo jar zaraz, a w jarze ciemno. Hodi, siromacha.

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony, jak rozgniewany. Ten Bohun widocznie szukał okazy i byłby ją znalazł, ale dlaczego szukał? skąd ta niespodziewana napaść?

PRUSZ  
UL. DOLA  
№ 9  
Walenty Janosz

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl, że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mroków nocnych, że twarz ta była blada, i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód, wedle rozkazu kniahyni, która, spoglądając za nim, rzekła w pół do siebie, w pół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać niespełna rozumu — odpowiedział pogardliwie p. Skrzetuski. — Czy to kozak w służbie synów imci pani?

Stara kniahyni rzuciła się w tył kolaski.

— Co waćpan mówisz, to jest Bohun, podpułkownik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abys waszmość o nazwisku jego nie slyszal, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, skąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryn-

tem cieśnin, zatok, kolbani, wysp, skał, jarów i oczeretów. Od wyrostka zżył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi »za rybą i zwierzem«, tłukł się po zakrętach dniewnych, brodził po bagniskach i oczeretach z gromadą półnagich towarzyszków — to znów całę miesiáce spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie Pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy przeciw brzegowym ulusom, do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nie znalazł jak na koniu, innych nocy jak przy ognisku na stepie. Wcześniej stał się ulubieńcem całego Niżu, wcześniej sam zaczął wodzić innych; i wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Baczysaraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogę; palił ulusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytanych murzów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku, wlażył, jak mówiono, w paszczkę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach — on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że

zebrał skarby ogromne, i że trzyma je ukryte po dniewowych komyszach, ale też nieraz go widziano, jak deptał zabłoconemi nogami po zło: toglowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki kąpał się w dziegciu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazyja. Czasem, przybywszy do Czechryna, Czerkas lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi Zaporozcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozakami najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełzana i rozszalała. Dlaczego na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazyja wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu, i której za jedno było grabić Tatarów, czy swoich. Bohun brał łup, ale wołał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla



własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków on jeden najlepiej uosabiał kozaka-rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozslawiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział, kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahyni, czy to kozak w służbie jej synów, to czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy watażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że kozak poczynił sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na byle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również nie cofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar, i zdala ukazały się światła w Rozłogach.

## ROZDZIAŁ IV.

Kurcewicze Bulyhowie był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryjata wywodził, a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu, a na Zadnieprze przeniósł się dopiero książę Wasil, jeden z licznych potomków linii wołyńskiej, który ubogim będąc, nie chciał wśród możnych krewnych zostawać i wszedł na służbę księcia Michała Wiśniowieckiego, ojca przesławnego »Jaremy«.

Okrywszy się sławą w tej służbie i znaczne posługi rycerskie księciu oddawszy, otrzymał od tegoż w dziedzictwie Krasne Rozłogi, które potem, dla wielkiej mnogości wilków, Wilczemi Rozłogami przeważno, i stale w nich osiadł. W roku 1629 przeszedłszy na obrządek łaciński, ożenił się z Rahozianką, panną z zacnego domu szlacheckiego, który się z Wołoszczyzny wywodził. Z małżeństwa tego, w rok później, przyszła na świat córka Helena; matka umarła przy jej urodzeniu, książę Wasil zaś, nie myśląc już o powtórnym ożenku, oddał się całkiem gospodarstwu i wychowaniu jedynaczki. Był to człowiek wielkiego charakteru i niepospolitej cnoty. Dorobiwszy się dość szybko średniej fortuny, pomyślał zaraz o starszym swym bracie

Konstantynie, który na Wołyniu w biedzie został i odepchnięty od możnej rodziny, zmuszony był chodzić po dzierżawach. Tego wraz z żoną i pięciu synami do Rozłogów sprowadził i każdym kawałkiem chleba się z nimi dzielił. W ten sposób obaj Kurcewice żyli w spokoju aż do końca 1634 roku, w którym Wasil z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył. Tam to zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim przejęto list pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Napróżno Wasil świadczył się Bogiem, że ni ręka, ni podpis na liście nie są jego — herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłómaczył, nikt wierzyć nie chciał — i ostatecznie nieszczęśliwy kniaź *pro crimine perduclionis* skazany na utratę czci i gardła, musiał się ucieczką salwować. Przybywszy nocą do Rozłogów, zaklął brata Konstantyna na wszystkie świętości, by jak ojciec opiekował się jego córką — i odjechał na zawsze. Mówiono, że raz jeszcze z Baru pisał list do księcia Jeremiego z prośbą, by nie odejmował kawałka chleba Helenie i spokojnie ją w Rozłogach na opiece Konstantyna zostawił;

potem głos o nim zaginął. Były wieści, że zmarł zaraz, to że przystał do cesarskich i zginął na wojnie w Niemczech — ale któż mógł co wiedzieć na pewno? Musiał zginąć, skoro się więcej o córkę nie pytał. Wkrótce przestano o nim mówić, a przypomniano go sobie dopiero, gdy wyszła na jaw jego niewinność. Niejaki Kupcewicz, Witebszczanin, umierając zeznał, jako on pisał pod Smoleńskiem list do Szehina i znalezionym w obozie sygnetem go przypieczętował. Wobec takiego świadectwa, żalność i konsternacja ogarnęły wszystkie serca. Wyrok został zmieniony, imię księcia Wasila do sławy przywrócone, ale dla niego samego nagroda za mękę przyszła za późno. Co do Rozłogów, to Jeremi nie myślał ich zagarniać, bo Wiśniowieccy, znając lepiej Wasila, nigdy o jego winie nie byli zupełnie przekonani. Mógłby on być nawet zostać i drwić z wyroku pod ich potężną opieką, i jeżeli uszedł, to dlatego, że niesławy znieść nie umiał.

Helena chowała się więc spokojnie w Rozłogach, pod czulą opieką stryja — i, dopiero po jego śmierci zaczęły się dla niej ciężkie czasy. Żona Konstantyna, z rodziny wątpliwego pochodzenia, była to kobieta surowa, popędliwa a energiczna, którą mąż jeden utrzymać w ryzyku umiał. Po jego śmierci, zagarnęła w żelazne ręce rządu w Rozłogach. Służba drżała przed

nią — dworzyszczowi bali się jej jak ognia, sąsiadom dała się wkrótce we znaki. W trzecim roku swych rządów po dwakroć zbrojno najężdżała Siwińskich w Browarkach, sama przebrana po męsku, konno przywodząc czeladzi i najętym kozakom. Gdy raz pulki księcia Jeremiego pogromiły watahę Tatarów, swawolącą kolo Siedmiu Mogił, kniahyni na czele swoich ludzi zniosła ze szczętem kupę niedobitków, która się aż pod Rozłogi zapędziła. W Rozłogach też usadowiła się na dobre i poczęła je uważać za swoją i swoich synów własność. Synów tych kochała jak wileczyca młode, ale sama będąc prostytutką, nie pomyślała o przystojnem dla nich wychowaniu. Mnich greckiego obrządku, sprowadzony z Kijowa, wyuczył ich czytać i pisać — na czem też skończyła się edukacja. A przecie niedaleko były Łubnie, a w nich dwór książęcy, na którymby młodzi kniaziowie mogli nabrać poloru, wyćwiczyć się w kancelaryi, w sprawach publicznych, lub zaciągnąwszy się pod chorągwie, w szkole rycerskiej. Kniahyni miała wszelako swoje powody, dla których nie oddawała ich do Łubniów.

A nużby książę Jeremi przypomniał sobie czyje są Rozłogi i wejrzał w opiekę nad Heleną, albo sam dla pamięci Wasila tę opiekę chciał sprawować? Przyszłoby chyba wówczas wynosić się z Rozłogów — wolala więc knia-

hyni, by w Łubniach zapomniano, że jacy Kurcewiczowie żyją na świecie. Ale też za to młodzi kniaziowie hodowali się wpół-dziko i więcej po kozacku, niż po szlachecku. Pacholętami jeszcze będąc, brali udział w poswarkach starej kniahyni, w zajazdach na Siwińskich, w wyprawach na kupy tatarskie. Czując wrodzony wstręt do książek i pisma, po całych dniach strzelali z luków, lub uprawiali ręce we władanie kiścieniami, szablą, w rzucanie arkanów. Nie zajmowali się nawet i gospodarstwem, bo go nie puszczała z rąk matka. I żał było patrzeć na tych potomków znakomitego rodu, w których żyłach płynęła krew książęca, ale których obyczaje były surowe i grube, a umysły i zatwardziałe serca przypominały step nieuprawny. Tymczasem wyrastali jak dęby; wiedząc wszelako to do siebie, iż są prostakami, wstydzili się żyć ze szlachtą, a natomiast miłszem im było towarzystwo dzikich watażków kozackich. Wcześniej też weszli w komitywę z Niżem, gdzie ich za towarzyszków uważano. Czasem po pół roku siedzieli na Siczy; chodzili na »przemyśl« z kozakami, brali udział w wyprawach na Turków i Tatarów, które w końcu stały się głównem i ulubionem ich zajęciem. Matka nie przeciwiała się temu, bo często przywozili zdobycz obfitą. Wszelako na jednej z takich wypraw najstarszy Wasil dostał się w ręce pogańskie. Bracia



przy pomocy Bohuna i jego Zaporozców odbili go wprawdzie, ale z wykapanemi oczyma. Od tej pory ten w domu siedzieć musiał; jako dawniej był najdzikszy, tak potem zlagodniał bardzo i w rozmyślaniach a nabożeństwie się zatopił. Młodzi prowadzili dalej wojenne rzemiosło, które w końcu przydomek kniaziów-kozaków im zjednało. Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają. Gdy posel i pan Skrzetuski zajechali przez bramę ze swymi wozami, ujrzeni nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wążkami, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i kozaków, stajnie, śpichlerze i lamusy przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych, to niższych części złożoną, na zewnątrz tak ubogą i prostą, że gdyby nie światła w oknach, trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać. Na majdanie przed domem widać było dwa żorawie studzienne, bliżej bramy słup z kołem na szczycie, na którym siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna, z takichże bierwion dębowych, dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i najazdom zabezpieczone. We wszystkim też przypominało kresową pałankę kozacką,



a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego, a nie innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapiężne gniazdo. Czeladź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na majdanie targaly za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajen dobywało się rżenie koni, młodzi Bułhowie wraz z matką poczęli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać. Wśród takiego harmideru goście weszli do środka domu, ale tu dopiero pan Rozwan Ursu, który, widząc poprzednio dzikość i mizeryę siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzały jego oczy. Wnętrze domu zgola nie odpowiadało jego lichym zewnętrznym pozorom. Naprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt.

W dwóch ogromnych grubach paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny tureckie, na których tu i owdzie świeciły drogie kamienie, druciane koszulki ze złożonymi guzami na spięciach, półpancerze, nabrzuśniki, ryngrafy, stalowe harnasze wielkiej ceny, helmy polskie i tureckie, oraz mi-

siurki z wierzchami od srebra. Na przeciwległej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym; obok nich kopie polskie i dziiryty wschodnie; siecznego oręża też dosyć, od szabli aż do gindżałów i jataganów, których głównie migotały różnymi kolorami, jak gwiazdki w blasku ognia. Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wileczych, niedźwiedziej, kunich i gronostajowych — owoc myśliwstwa kniaziów. Niżej wzdłuż ścian, drzemały na obręczach jastrzębie, sokoly i wielkie berkuty, sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używane do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej gościnnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rześisty ogień. W komnacie tej większy był jeszcze przepych, niż w sieni. Gole belki w ścianach pookrywane były makatami, na podłodze rozścielaly się przepyszne wschodnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych desek, na nim zaś roztruchany całe złocone lub rzniete ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i półki, na nich sepety, puzdra nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary zrabowane czasu swego przez Turków Wenecyanom, a przez kozaków Turkom. Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy

użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Cenne komody tureckie nabijane bronzem, hebanem, perłową macicą, stały obok nieheblowanych pólek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobiercami. Poduszki, leżące modą wschodnią na sofach, miały pokrowce z altembasu lub bławatów, ale rzadko były wypchane kwapiem, częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbyt kosztowne przedmioty było to tak zwane »dobro« tureckie, tatarskie, częścią kupione za byle co od kozaków, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez starego kniazia Wasila, częścią w czasie wypraw z Niżowcami przez młodych Bułyhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się lub gospodarstwa pilnować. Wszystko to nie dziwiło zgoła pana Skrzetuskiego, znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiewał się, widząc wśród tego przepychu Kurcewiczów ubranych w jałowicze buty i w kożuchy niewiele lepsze od tych, jakie nosiła służba; dziwił się również i pan Longin Podbięta, przywykły na Litwie do innych porządków.

Tymczasem młodzi kniaziowie podejmowali gości szczerze i z wielką ochotą, lubo mało otarci w świecie, czynili to manierą tak nie-

zgrabną, iż namiestnik za ledwo mógł uśmiech powściągnąć.

Starszy Simeon mówił:

— Radziśmy waszmościom i wdzięczni za łaskę. Dom nasz — dom wasz, tak też i bądźcie jak u siebie. Klaniamy panom dobrodziejstwu w niskich progach.

I lubo nie znać było w tonie jego mowy żadnej pokory, ani rozumienia, jakoby przyjmował wyższych od siebie, przecież kłaniał im się obyczajem kozackim w pas, a za nim klaniali się i młodszy bracia, sądząc, że tego gościnność wymaga, i mówiąc:

— Czołem waszmościom, czołem!...

Tymczasem kniahyni, szarpnąwszy Bohuna za rękaw, wyprowadziła go do innej komnaty.

— Słysz, Bohun — rzekła pośpiesznie: — nie mam czasu długo gadać. Widziałam, że ty tego młodego szlachcica na ząb wziął i zaczepki z nim szukasz?

— Maty! — odpowiedział kozak, całując starą w rękę: — Świat szeroki, jemu inna droga, mnie inna. Ani ja go znał, ni o nim słyszał, ale niech mi się nie pochyła do kniaziówny, bo jakem żyw, szablą w oczy zaświecę.

— Hej, oszalał, oszalał! A gdzie głowa, koczaczko? Co się z tobą dzieje? Czy ty chcesz zgubić nas i siebie? To jest żołnierz Wiśniowieckiego i namiestnik, człowiek znaczny, bo od

księcia do chana posłował. Niech mu włos z głowy spadnie pod naszym dachem, wiesz co będzie? Oto wojewoda obróci oczy na Rozłogi, jego pomści, nas wygna na cztery wiatry, a Helenę do Łubniów zabierze — i co wówczas? Czy i z nim zadrzesz? Czy na Łubnie napadniesz? Spróbuj, jeśli chcesz pała posmakować, kozacze zatracony!... Chyla się szlachcic do dziewczyny, nie chyla, ale jak przyjechał, pojedzie, i będzie spokój. Hamujże ty się, a nie chcesz, to ruszaj skądś przybył, bo nam tu nieszczęścia naprowadzisz!

Kozak gryzł wąż, sapał, ale zrozumiał, że kniahyni ma słuszość.

— Oni jutro odjadą, matko, — rzekł — a ja się pohamuję, niech jedno czarnobrewa nie wychodzi do nich.

— A tobie co? Żeby myśleli, że ją więzę. Otóż wyjdzie, bo ja tego chcę! Ty mi tu w domu nie przewoź, boś nie gospodarz.

— Nie gniewajcie się, kniahyni. Skoro inaczej nie można, to będę im jako tureckie bakalie słodki. Zębem nie zgrzytnę, do głowni nie sięgnę, choćby mnie gniew i pożarł, choćby dusza jęczeć miała. Niechże będzie wasza wola.

— A to tak gadaj, sokole, teorban weź, zagraj, zaśpiewaj, to ci i na duszy lżej się zrobi. A teraz chodź do gości.

Wrócili do gościnnej komnaty, w której knia-

ziowie, nie wiedząc jak gości bawić, wciąż ich zapraszali, by byli sobie radzi, i klaniali im się w pas. Tu zaraz pan Skrzetuski spojrzał ostro a dumnie w oczy Bohunowi, ale nie znalazł w nich zaczepki, ni wyzwania. Twarz młodego watażki jaśniała uprzejmą wesołością, tak dobrze symulowaną, że mogłaby omylić najwprawniejsze oko. Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał molojca smukłego jak topola, z obliczem smagłem, zdobnem w bujny, czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czolo miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, polyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieżny, ale wogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadyackiej. Na podziw świetny ubiór wyróżniał także stepowego molojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan z cienkiej lamy srebrnej i czerwony kontusz, którą to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach; ale i szabla i ubiór gasły

przy bogactwie tureckiego gindżału, zatkniętego za pas, którego glownia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wysokiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniere nie zdradzały niskiego pochodzenia. Zbliżywszy się do pana Longina, wysłuchał historyi o przodku Stowejce i o ścięciu trzech krzyżaków, a potem zwrócił się do namiestnika i, jak gdyby nie pomiędzy nimi nie zaszło, spytał z całą swobodą:

— Wasza mość, słyszę, z Krymu powracasz?

— Z Krymu — odparł sucho namiestnik.

— Byłem tam i ja, a chociażem się do Bachczysaraju nie zapędzał, przecie mniemam, że i tam będę, jeśli się one pomyślne wieści sprawdzą.

— O jakich wieściach waść mówisz?

— Są glosy, że jeśli król miłościwy wojnę z Turczyńnem zacznie, to książę wojewoda Krym ogniem i mieczem nawiedzi, od których wieści wielka jest radość na całej Ukrainie i na Niżu, bo jeśli pod takim wodzem nie pohulamy w Bachczysaraju, tedy pod żadnym.

— Pohulamy, jak Bóg w niebie! — ozwali się Kurcewicze.

Porucznika ujął respekt, z jakim watażka odzywał się o księciu, przeto uśmiechnął się i rzekł łagodniejszym już tonem:



— Waści widzę, nie dość wypraw z Niżowcami, które cię przecie sławą okryły.

— Mała wojna, mała sława; wielka wojna, wielka sława. Konaszewicz Sahajdaczny nie na czajkach, ale pod Chocimem jej nabył.

W tej chwili drzwi się otworzyły, i do komnaty wszedł zwolna Wasil, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły i wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczu miał dwie czerwone jamy, w rękę trzymał krzyż mosiężny, którym począł żegnać komnatę i wszystkich obecnych.

— W imię Boga i Ojca, w imię Spasa i Świętej Przenajświętszej! — mówił. — Jeśli apostołami jesteście i dobre nowiny niesiecie, witajcie w progach chrześcijańskich. Amen.

— Wybaczcie waszmościowie, — mruknęła kniahyni — on ma rozum pomieszany.

Wasil zaś żegnał wciąż krzyżem i mówił dalej:

— Jako stoi w »Biesiadach apostolskich«: »którzy przeleją krew za wiarę, zbawieni będą; którzy polegną dla dóbr ziemskich, dla zysku lub zdobyczy — mają być potępieni«... Módlmy się! Gorze wam, bracia! gorze mnie, bośmy dla

zdobywszy wojnę czynili! Boże, bądź miłościw nam grzesznym! Boże, bądź miłościw... A wy, mężowie, którzy przybyliście z daleka, jakie nowiny niesiecie? Jesteście apostołami?

Umilkł i zdawał się czekać na odpowiedź, więc namiestnik odpowiedział po chwili:

— Daleko nam od tak wysokiej szarży. Żołnierzami tylko jesteśmy, gotowymi poledz za wiarę.

— Tedy będziecie zbawieni, — rzekł ślepy — ale dla nas nie nadeszła jeszcze godzina wyzwolenia... Gorze wam, bracia! Gorze mnie!

Ostatnie słowa wymówił prawie jęcząc, i taka niezmierna rozpacz malowała się na jego twarzy, że goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem Helena posadziła go na krześle, sama zaś, wybiegłszy do sieni, wróciła po chwili z lutnią w ręku.

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru im kniaziówna poczęła śpiewać pieśń pobożną:

I w noc i we dnie wołam do Ciebie, Panie!  
Pofolguj męce i łzom żałośliwym,  
Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym,  
Usłysz wołanie!

Niewidomy przechylił w tył głowę i słuchał słów pieśni, które zdawały się działać jak balsam kojący, bo z twarzy znikwały mu stopniowo

ból i przerażenie; наконец głowa spadła mu na piersi, i tak pozostał jakby w pół-śnie, pół-odrętwieniu.

— Byle nie przerywać śpiewania, już on się całkiem uspokoi — rzekła z cicha kniahyni. — Widzicie waszmościowie, waryacya jego polega na tem, że ciągle czeka apostołów, i byle kto do domu przyjechał, zaraz wychodzi pytać, czy nie apostołowie...

Tymczasem Helena śpiewała dalej:

Wskaż-że mi drogę, o Panie nad Pany,  
Bom jako pątnik na pustyni bezdrożu,  
Lub jak wśród fali na niezmierzonym morzu  
Korab zbłąkany.

Słodki głos jej brzmiał coraz silniej, i z tą lutnią w ręku, z oczyma wzniesionemi do góry, była tak cudna, że namiestnik oczu nie mógł od niej oderwać. Zapatrzył się w nią, utonął w niej — o świecie zapomniał.

Z zachwyty rozбудziły go dopiero słowa starej kniahyni:

— Dosyć tego! Już on się teraz nieprędko rozbudzi. A tymczasem proszę ichmościów na wieczerzę.

— Prosimy na chleb i sól! — ozwali się za matką młodzi Bułyhowie.

Pan Rozwan, jako kawaler wielkich manier, podał ramię kniahyni, co widząc, pan Skrzetu-

ski sunął zaraz do kniaziówny Heleny. Serce zmiękło w nim jak воск, gdy uczul jej rękę na swojej, z oczu aż skry poszły — i rzekł:

— Snadź już chyba i anieli w niebie cudniej nie śpiewają od waćpanny.

— Grzeszysz, rycerzu, przyrównywając moje śpiewanie do anielskiego — odpowiedziała Helena.

— Nie wiem czy grzeszę, ale to pewna, że chętnie dalbym sobie oczy wykapać, byle twego śpiewania do śmierci słuchać. Ale cóż mówię! Slepym będąc, nie mógłbym ciebie widzieć, co również byłoby męką nieznośną.

— Nie mów tego waszmość, gdyż wyjechawszy stąd jutro, jutro zapomnisz.

— O, nie stanie się to, gdyż takem się w waćpannie rozkochał, iż po wiek żywota mego innego afektu znać nie chcę, a tego nigdy nie zapomnę.

Na to szkarlatny rumieniec oblal twarz kniaziówny, pierś poczęła falować mocniej. Chciała odpowiedzieć, ale tylko wargi jej drżały — więc pan Skrzetuski mówił dalej:

— Waćpanna raczej zapomnisz o mnie przy owym kraśnym wataźce, który twemu śpiewaniu na balabajce przygrywać będzie.

— Nigdy, nigdy! — szepnęła dziewczyna. — Ale waćpan się jego strzeż: to straszny człowiek.

— Co mi tam jeden kozak znaczy, a choćby też i cała Sicz z nim trzymała, jam się dla cie-

bie na wszystko ważyć gotowy. Tyś mi jest właśnie jako klejnot bez ceny, tyś mój świat, jeno niech wiem, żeś mi jest wzajemną.

Ciche »tak« zadźwięczało jak rajska muzyka w uszach pana Skrzetuskiego, i zaraz wydało mu się, że w nim przynajmniej dziesięć serc bije; w oczach mu pojaśniało wszystko, jakoby promienie słoneczne na świat padły; uczuł w sobie jakieś moce nieznane, jakieś skrzydła u ramion. Przy wieczerzy mignęła mu kilkakroć twarz Bohuna, która była zmieniona bardzo i blada, ale namiestnik, mając wzajemność Heleny, nie dbał o tego współzawodnika. »Jechał go sę! — myślał sobie — niechże mi w drogę nie wlezi, bo go zetrę«. Zresztą myśli jego szły w inną stronę.

Czuł oto, że Helena siedzi przy nim tak blisko, iż prawie ramieniem dotyka jej ramienia, widział rumieńce nieschodzące z jej twarzy, od których bił żar, widział pierś falującą i oczy, to skromnie spuszczone i rzęsami nakryte, to błyszczące jak dwie gwiazdy. Bo też Helena, choć zahukana przez Kurcewiczową, choć żyjąca w sieroctwie, smutku i obawie, była przecie Ukrainką o krwi ognistej. Gdy tylko padły na nią ciepłe promienie miłości, zaraz zakwitła jak róża i do nowego nieznanego rozbudziła się życia. W jej twarzy zabłysło szczęście, odwaga, a te porywy, walcząc ze wstydem dziewięcym,

umalowały jej policzki w śliczne kolory różane. Więc pan Skrzetuski mało ze skóry nie wyskoczył. Pił na umór, ale miód nie działał na niego, bo już był pijany miłością. Nie widział nikogo więcej przy stole, tylko swoją dziewczynę. Nie widział, że Bohun bladł coraz bardziej i coraz macał głowni swego gindżału; nie słyszał, jak pan Longin opowiadał po raz trzeci o przodku Stowejce, a Kurcewicz o swoich wyprawach po »dobro tureckie«. Pili wszyscy, prócz Bohuna, a najlepszy przykład dawała stara kniahyni, wnosząc kusztyki to za zdrowie gości, to za zdrowie miłościwego księcia pana, to wreszcie hospodara Lupula. Była też mowa o ślepym Wasilu, o jego dawniejszych przewagach rycerskich, o nieszczęsnej wyprawie i terażniejszej waryacyi, którą najstarszy Symeon tak tłómaczył:

— Zważcie waszmościowie, iż gdy najmniejsze źdźbło w oku patrzeć przeszkadza, jakże tedy znaczne kawały smoly, dostawszy się do rozumu, nie miały go o pomieszanie przyprowadzić?

— Bardzo to jest delikatne *instrumentum* — zauważył na to pan Longin.

Wtem stara kniahyni spostrzegła zmienioną twarz Bohuna.

— Co tobie, sokole?

— Dusza boli, maty, — rzekł posępnie — ale kozacze słowo nie dym, więc zdzierzę.

— Terpy, synku, mohorycz bude.

Wieczera była skończona — ale miodu dolewano ciągle do kuszyków. Przyszli też koczakowie, wezwani do tańcowania na tem większą ochotę. Zadzwieczyły balabajki i bębenek, przy których odgłosach zaspane pacholęta musiały płasnąć. Później i młodzi Bulyhowie poszli w prysudy. Stara kniahyni, wzięwszy się pod boki, poczęła dreptać w miejscu, a podrygiwać, a podśpiewywać, co widząc, pan Skrzetuski sunął z Heleną do tańca. Gdy ją objął rękoma, zdawało mu się, iż kawał nieba przyciska do piersi. W zawrotach tańca długie jej warkocze omotały mu szyję, jakby dziewczyna chciała go przywiązać do siebie na zawsze. Nie wytrzymał tedy szlachcic, ale gdy rozumiał, że nikt nie patrzy, pochylił się i z całej mocy pocałował jej słodkie usta.

Późno w noc znalazłszy się sam na sam z panem Longinem w izbie, w której posłano im do spania, porucznik zamiast iść spać, siadł na tapczanie i rzekł:

— Z innym to już człowiekiem jutro walczyć do Łubniów pojedziesz!

Podbięta, który właśnie ukończył pacierze, otworzył szeroko oczy i spytał:

— Ta bo cóż? czy waszmość tu zostanie?

— Nie ja zostanę, ale serce zostanie, a jedno *dulcis recordatio* ze mną pojedzie. Widzisz



• mnie waćpan w wielkiej alteracyi, gdyż od żądz tkliwych ledwie że tchu *oribus* mogę złapać.

— To waćpan zakochał się w kniaziównie?

— Nieinaczej, jako żyw tu przed waćpanem siedzę. Sen ucieka mnie od powiek, i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozplynę — co waćpanu powiadam dlatego, że mając serce czule i afektów godne, snadnie mękę moją zrozumiesz.

Pan Longin sam wzdychać począł, na znak, że męczarnie miłości rozumie, po chwili zaś spytał żałośnie:

— A może waćpan takż czystość ślubował?

— Pytanie waćcine jest nie do rzeczy, bo gdyby wszyscy podobne śluby czynili, tedyby *genus humanum* zginać musiało.

Wejście sługi przerwało dalszą rozmowę. Był to stary Tatar, o bystrych czarnych oczach i pomarszczonej jak suszone jablko twarzy. Wszedłszy, rzucił znaczące spojrzenie na Skrzetuskiego i spytał:

— A czy nie trzeba czego waszmościom? może miodu po kusztyczku do poduszki?

— Nie trzeba.

Tatar zbliżył się do Skrzetuskiego i mruknął:

— Mam dla W. pana słówko od panny.

— Bądź-że mi Pandarem! — zawołał radośnie namiestnik. — Możesz też mówić przy tym kawalerze, bom się przed nim spuścił z sekretu.

Tatar wydobyl z za rękawa kawalek wstążki:

— Panna przysyla W. panu tę szarfę i to  
kazala powiedziec, że miluje go z calej duszy.

Porucznik porwał szarfę i poczał ją z unie-  
sieniem całować i do piersi przyciskać, a do-  
piero ochłonawszy nieco, spytał:

— Co ci zleciła powiedziec?

— Że miluje waszmość pana z calej duszy.

— Naści-że talera za musztuluk. Rzekła  
tedy, że mię miluje?

— Tak jest!

— Naści-że jeszcze talera. Niechże ją Bóg  
błogosławi, boć i ona mi najmilsza. Powiedz-że  
jej... albo czekaj; sam do niej pisać będę; przy-  
nieś mi jeno inkaustu, piór i papieru.

— Czego? — spytał Tatar.

— Inkaustu, piór i papieru.

— Tego u nas w domu niema. Za kniazia  
Wasila było — i potem, jak się młodzi knia-  
ziowie pisać od czerńca uczyli — ale to już  
dawno.

Pan Skrzetuski klasnął palcami.

— Mości Podbipięto, nie masz wasze inkau-  
stu i piór?

Litwin rozłożył ręce i wzniosł oczy do góry.

— Tfy do licha! — rzecze porucznik: —  
otom jest w kłopotie!

Tymczasem Tatar usiadł w kuczki przed  
ogniem.

— Po co pisać — rzekł, grzebiąc w węglach. — Panna spać poszła. A co masz wasza miłość jej napisać, to jutro powiedzieć można.

— Kiedy tak, to co innego. Wiernyś, jak widzę, sługa kniaziówny. Naści-że trzeciego talera. Dawno służysz?

— Ho! ho! czternaście lat temu, jako mnie książ Wasil w jasyr wziął — i od tej pory służyłem mu wiernie, a gdy onej nocy odjeżdżał na przepadle imię, to dziecko Konstantynu zostawił, a do mnie rzekł: »Czechły! i ty nie odstąpisz dziewczyny i będziesz jej strzegł, jak oka w głowie. Łacha il Alla!«

— Tak też i czynisz?

— Tak też i czynię, i patrzę.

— Mów, co widzisz? Jak tu kniaziównie?

— Źle tu myślą o niej, bo ją chcą dać Bohunowi, który jest pies potępiony.

— O! nie będzie z tego nic! znajdzie się komu za nią ująć!

— Tak! — rzekł stary, potrząsając palące się głownie. — Oni ją chcą dać Bohunowi, by ją wziął i poniósł jako wilk jagnię, a ich w Rozlogach zostawił — bo Rozlogi jej, nie ich, po kniaziu Wasilu. On też Bohun to uczynić gotów, bo po komyszach więcej ma złota i srebra, niżeli piasku w Rozlogach, ale ona ma go w niewiści od pory, jak przy niej człowieka cze-

kanem rozszczepił. Krew padła między nich i nienawiść wyrosła. Bóg jest jeden!

Namiestnik tej nocy usnąć nie mógł. Chodził po izbie, patrzył w księżyc i w myśli różne ważył postanowienia. Zrozumiał teraz grę Bułhów. Gdyby kniaziównę szlachcic jakiś okoliczny pojął, toby się upomniął o Rozłogi, i miałby słusność, bo się jej należały; a może zażądałby jeszcze rachunków z opieki. Dla tej to przyczyny i tak już skozaczeni Bułhowie postanowili dać dziewczynę kozakowi. O czem myśląc, pan Skrzetuski pięście ścisnął i miecza szukał wedle siebie. Postanowił więc rozbić te machinacye i czuł się na siłach to uczynić. Przecie opieka nad Heleną należała i do księcia Jeremiego, raz, że Rozłogi były puszczone od Wiśniowieckich staremu Wasilowi, powtóre, że sam Wasil z Baru pisał list do księcia, prosząc o opiekę. Tylko nawał spraw publicznych, wojny i wielkie przedsięwzięcia mogły sprawić, że wojewoda dotąd w opiekę nie wejrzał. Ale dość będzie słowem mu przypomnieć, a sprawiedliwość uczyni.

Szaro już robiło się na świecie, gdy pan Skrzetuski rzucił się na posłanie. Spał twardo i nazajutrz zbudził się z gotowem postanowieniem. Ubrali się tedy z panem Longinem śpiesznie, ile że i wozy stały już w gotowości, a żołnierze pana Skrzetuskiego siedzieli na koniach,

gotowi do odjazdu. W gościnnej izbie poseł po-  
krzepiał się polewką w towarzystwie Kurcewi-  
czów i starej kniahyni; Bohuna tylko nie było;  
niewiadomo: spał jeszcze, czy odjechał.

Posiliwszy się, Skrzetuski rzekł:

— Mościa pani! *Tempus fugit*, za chwilę na  
koń nam siadać trzeba, nim więc podziękujemy  
wdzięcznem sercem za gościnę, mam ja tu waż-  
ną sprawę, o którejbym chciał z jejmość pa-  
nią i z ichmość jej synami kilka słów na osob-  
ności pomówić.

Na twarzy kniahyni odmalowało się zdzi-  
wienie; spojrzała na synów, na posła i pana  
Longina, jakby pragnąc z ich twarzy odgadnąć  
o co idzie, i z pewnym niepokojem w głosie  
rzekła:

— Służę waszmości.

Posł chciał wstawać, ale mu nie dozwoliła,  
natomiast przeszli do owej sieni, pokrytej zbroją  
i orężem. Młodzi kniaziowie ustawili się szere-  
giem za matką, która, stanąwszy naprzeciw  
Skrzetuskiego, spytała:

— O jakiejże sprawie waćpan chcesz mówić?

Namiestnik utkwił w niej wzrok bystry, su-  
rowy prawie, i rzekł:

— Wybacz jejmość i wy, młodzi kniaziowie,  
że przeciw zwyczajowi postępując, zamiast przez  
zacnych posłów mówić, sam w sprawie mej rzecz-  
nikiem będę. Ale nie może być inaczej, a gdy

z musem nikt walczyć nie zdoła, przeto bez dłuższego kunktatorstwa, przedstawiam jejmość pani i ichmościom, jako opiekunom, moją pokorną prośbę, byście mi księżniczkę Helenę za żonę oddać raczyli.

Gdyby w tej chwili, w czasie zimy, piorun runął na majdan w Rozlogach, mniejszeby sprawił wrażenie na kniahyni i jej synach, niż owe słowa namiestnika. Przez chwilę spoglądali ze zdumieniem na mówiącego, który stał przed nimi wyprostowany, spokojny i dziwnie dumny, jakby nie prosić, ale rozkazywać zamierzał, i nie umieli znaleźć słowa odpowiedzi — a natomiast kniahyni pytać zaczęła:

— Jak to? waść? o Helenę?

— Ja, mościa pani — i to jest niewzruszony mój zamiar.

Nastala chwila mileczenia.

— Czekam odpowiedzi imość pani.

— Wybacz waćpan — odrzekła, ochłonawszy, kniahyni, a głos jej stał się suchy i ostry: — zaszczyt to dla nas nie mały prośba takiego kawalera, ale nie może z niej nic być, gdyż Helenę obiecałam już komu innemu.

— Zważ wszelako waćpani, jako troskliwa opiekunka, czy to nie było przeciw woli kniaziówny i czym nie lepszy niżli ten, komu ją waćpani obiecałaś.

— Mości panie! Kto lepszy, mnie sądzić. Mo-

żesz być i najlepszy, wszystko nam jedno, bo cię nie znamy.

Na to namiestnik wyprostował się jeszcze dumniej, a spojrzenia jego stały się jako noże ostre, choć zimne.

— Ale ja was znam, zdrajcy! — huknął. — Checcie krewniaczkę chłopu oddać, byle was tylko w zagarniętej nieprawnie włości zostawił...

— Sam zdrajco! — krzyknęła kniahyni. — Tak to za gościnę placisz? taką to wdzięczność w sercu żywisz? O zmijo! Coś za jeden? Skądś się wziął?

Młodzi Kurcewicze poczęli w palce trzaskać i po ścianach za bronią się oglądać, namiestnik zaś wołał:

— Poganie! zagarnęliście włość sierocą, ale nie z tego. Za dzień, książę już o tem wiedzieć będzie.

Usłyszawszy to, kniahyni rzuciła się w tył izby i, chwyciwszy rohatynę, szła z nią do namiestnika. Kniaziowie też, porwawszy, co który mógł, ten szablę, ten kiścień, ten nóż, otoczyli go półkolem, dysząc jak stado wilków wściekłych.

— Do księcia pójdziesz? — wołała kniahyni — a wieszli, czy żyw stąd wyjdiesz? czy to nie ostatnia twoja godzina?

Skrzetuski skrzyżował ręce na piersiach i okiem nie mrugnął.

— Jako książęcy poseł z Krymu wracam —



rzekl: — niech tu jedną kroplę krwi uронię, a we trzy dni i popiołu z tego miejsca nie zostanie, wy zaś pognijecie w lochach lubniańskich. Jestli na świecie moc, coby was uchronić zdołała? Nie groźcie, bo was się nie boję!

— Zginiemy, ale ty pierwszej zginiiesz.

— Tedy uderzaj — oto pierś moja.

Kniaziowie z matką na czele, trzymali wciąż ostrza skierowane ku piersi namiestnika, ale rzeklbyś, jakieś niewidzialne łańcuchy skrępowwały im ręce. Sapiąc i zgrzytając zębami, szarpali się w bezsilnej wściekłości — wszelako nie uderzał żaden. Ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego.

Namiestnik był panem położenia.

Bezsilny gniew kniahyni wylał się tylko potokiem obelg:

— Przechero! szaraku! holyszu! kniaziowej krwi ci się zachciało — ale nie z tego! Każdemu oddamy, byle nie tobie, czego nam i sam książę nakazać nie jest w stanie.

Na to pan Skrzetuski:

— Nie pora mi się z mego szlachectwa wywodzić, ale tak myślę, że wasze księstwo mogłoby snadnie za niem mieczyk i tarczę nosić. Zresztą, skoro chłop był wam dobry, to jam lepszy. Co do fortuny mojej i ta wejść może z waszą w paragon, a że mówicie, iż mnie Heleny nie dacie, to słuchajcie co powiem: i ja osta-

wię was przy Rozłogach, rachunków z opieki nie żądając.

— Nie darowuwuj tego, co nie twoje.

— Nie darowuję, jeno obietnicę na przyszłość daję i rycerskiem słowem ją poręczam. Tedy wybierajcie: albo rachunki księciu z opieki złożyć i z Rozłogów ustąpić, albo li mnie dziewczkę oddać, a włosz zatrzymać...

Rohatyna wysuwała się zwolna z rąk kniahyńni. Po chwili upadła z brzękiem na podłogę.

— Wybierajcie — powtórzył pan Skrzetuski: — *aut pacem, aut bellum!*

— Szczęście to, — rzekła już łagodniej Kurcewiczowa — że Bohun z sokoły pojechał, nie chcąc na waszmości patrzeć, bo on już wczora podejrzewał. Inaczej nie byłoby tu bez krwi rozlania.

— Mościa pani, i ja szablę nie po to noszę, by mi pas obciągała.

— Uważ jednak waszmość, czy to politycznie ze strony takiego kawalera, wszedłszy po dobremu w dom, tak na ludzi nastawać i dziewczkę impetem brać, tak właśnie, jakby z niewoli tureckiej?

— Godzi się, gdy poniewoli miała być chłopu zaprzędana.

— Tego waść o Bohunie nie mów, bo on choć rodziców nieświadom, przecie wojownik jest zawołany i rycerz sławny, a nam od dziec-

ka znajomy, w domu jakoby krewny. Któremu za jedno, czyby mu tę dziewczkę odjąć, czyby go nożem pchnąć.

— Mościa pani, a mnie czas w drogę, wybaczcie więc, że raz jeszcze powtórzę: wybierajcie!

Kniahyni zwróciła się do synów:

— A co, synkowie, mówicie na tak pokorną prośbę tego kawalera?

Bulyhowie spoglądali po sobie, trącali się lokciami i milczeli.

Nakoniec Symeon mruknął:

— Każesz bić, maty, to będziem; każesz dać dziewczkę, to damy.

— Bić źle i dać źle.

Potem, zwracając się do Skrzetuskiego:

— Przycisnąłeś nas waść tak do ściany, że choć łopnąć. Bohun jest człowiek szalony, gotów się ważyć na wszystko. Kto nas przed jego zemstą osłoni? Sam zginie od księcia, ale nas pierwszej zgubi. Co mam począć?

— Wasza głowa.

Kniahyni milczała przez chwilę:

— Słuchajże, mości kawalerze. Musi to wszystko w tajemnicy zostać. Bohuna wyprawił do Perejasławia, sami z Heleną do Łubniów zjedziem, a waść uprosisz księcia, by nam prezydium do Rozłogów przysłał. Bohun ma w pobliżu półtorasta semenów, z których

część tu jest. Nie możesz Heleny zaraz brać, bo ją odbije. Inaczej to nie może być. Jedź-że więc, nikomu sekretu nie powiadając, i czekaj nas.

— Byście mnie zdradzili?

— Byśmy tylko mogli! — ale nie mogę, sam to widzisz. Daj słowo, że sekret do czasu utrzymasz!

— Daję — a wy dajecie dziewczkę?

— Bo nie możemy nie dać — choć nam Bohuna żal...

— Tfy! tfy! moi panowie — rzekł nagle namiestnik, zwracając się do kniaziów: — czterech was jak dębów i jednego kozaka się bojąc, zdradą go brać chcecie. Chociem wam winien dziękować, jednakże powiem: nie przystoi to zacnej szlachcie!

— Waść się w to nie mieszaj — zakrzyknęła kniahyni. — Nie twoja to rzecz. Co nam począć? Ilu waść masz żołnierzów na jego półtorasta semenów? Oslonisz-że nas? oslonisz że samą Helenę, którą on gwałtem porwać gotów? To nie waścina rzecz. Jedźże sobie do Łubniów, a co my poczniemy, to nam wiedzieć, byleśmy Helenę ci przywieźli.

— Czyńcie co chcecie: jedno wam tylko jeszcze powiem. Gdyby się tu krzywda kniaziównie działa — tedy biada wam!

— Nie poczynajże sobie tak z nami, byś nas do desperacyi nie przywiódł.

— Boście jej gwałt uczynić chcieli, a i teraz, sprzedając ją za Rozłogi, do głowy wam nie przyszło spytać: zali będzie jej po myśli moja persona?

— Zaczem spytamy jej wobec ciebie — rzekła kniahyni, tłumiąc gniew, który na nowo poczynął wrzeć w jej piersi, czuła bowiem doskonale pogardę w słowach namiestnika.

Symeon poszedł po Helenę i po chwili ukazał się z nią w sieni.

Wśród tych gniewów i groźb, które zdawały się huczeć jeszcze w powietrzu, jak odgłosy przemijającej nawałnicy, wśród tych zmarszczonych brwi, srogich spojrzeń i surowych twarzy, jej śliczne oblicze zabłysło, jakoby słońce po burzy.

— Mościa panno! — rzekła ponuro kniahyni, ukazując Skrzetuskiego: — jeśli masz wolę po temu, to jest twój przyszły mąż.

Helena zbladła jak ściana, i krzyknąwszy, zakryła oczy rękoma, a potem nagle wyciągnęła je ku Skrzetuskiemu.

— Prawda li to? — szeptała w upojeniu.

---

W godzinę później, orszak posła i namiestnikowy posuwał się zwolna, leśnym gościńcem.

w stronę Łubniów. Skrzetuski z panem Longinem Podbipiętą jechali na czele; za nimi wozy poselskie wyciągnęły się długim pasem. Namiestnik cały był pogrążony w zadumie i tęsknocie, gdy wtem z owej zadumy zbudziły go urwane słowa pieśni:

„Tuż, tuż, serce bołyt...”

W głębi lasu, na wązkiej wyjeżdżonej przez chłopów drożynie, ukazał się Bohun. Koń jego całkiem był pokryty pianą i błotem.

Widocznie kozak, wedle swego obyczaju, puścił się był na stepy i lasy, by się wiatrem spić, zgubić w dali i zapamiętać, i to, co duszę bolalo — przeboleć.

Teraz wracał właśnie do Rozłogów.

Patrząc na tę przepyszną, iście rycerską postać, która mignęła tylko i znikła, pan Skrzetuski mimowoli pomyślał sobie, a nawet mruknął pod nosem:

— Wszelako to szczęście, że on człowieka przy niej rozszczepił.

Nagle jakiś żal ścisnął mu serce. Żal mu było jakoby i Bohuna, ale więcej jeszcze tego, że związawszy się słowem kniahyni, nie mógł, ot teraz, popędzić za nim konia i rzec:

— Kochamy jedną, więc jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądź, kozacze, szerpentyń!

## ROZDZIAŁ V.

Przybywszy do Łubniów, nie zastał pan Skrzetuski w domu księcia, który był do pana Suffczyńskiego, dawniejszego swego dworzanina, do Sieńczy na chrzciny pojechał, a z nim księżna, dwie panny Zbaraskie i wiele osób ze dworu. Dano tedy znać do Sieńczy i o powrocie z Krymu namiestnika, i o przybyciu posła; tymczasem znajomi i towarzysze witali radośnie po długiej podróży Skrzetuskiego, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który po ostatnim pojedynku był najbliższym naszemu namiestnikowi przyjacielem. Odznaczał się ten kawaler tem, iż ustawicznie był zakochany. Przekonawszy się o nieszczerości Anusi Borzobohatej, zwrócił był czule serce ku Anieli Leńskiej, pannie również z fraucymeru, a gdy i ta, przed miesiącem właśnie zaślubiła pana Staniszewskiego, wówczas Wołodyjowski dla pociechy jął wzdychać do starszej księżniczki Zbaraskiej, Anny, synowicy księcia Wiśniowieckiego.

Wszelako sam rozumiał, iż podniósłszy tak wysoko oczy, nie mógł choćby najmniejszą pokrzepiać się nadzieją, tembardziej, że i po księżniczkę zgłosili się już dziewosłębowie, pan Bodzyński i pan Lassota, w imieniu pana Przyjemskiego, wojewodzica łeczyckiego. Opowiadał



więc nieszczęsny Wołodyjowski te nowe strapienia naszemu namiestnikowi, wcielając go we wszystkie sprawy i tajemnice dworskie, których ten pół-uchem słuchał, mając umysł i serce czem innem zajęte. Gdyby nie owe duszne niepokoje, które z miłością, choćby wzajemną, zawsze w parze chodzić zwykły, byłby się czuł pan Skrzetuski szczęśliwym, wróciwszy po długiej nieobecności do Łubniów, gdzie otoczyły go twarze życzliwe i ów gwar życia żołnierskiego, z którym oddawna był zżyły. Albowiem Łubnie, jakkolwiek, jako zamczysta rezydencya pańska, mogły pod względem wspaniałości równać się ze wszystkimi siedzibami »królewiąt«, tem się wszelako od nich różniły, iż życie w nich było surowe, prawdziwie obozowe. Kto nie znał tamtejszych zwyczajów i ordynku, ten, przyjechawszy choćby w porze najspokojniejszej, mógł sądzić, że się tam jaka wyprawa wojenna gotuje. Żołnierz przeważał tam nad dworzaninem, żelazo nad złotem, dźwięk trąb obozowych nad gwarem uczt i zabaw. Wszędy panował wzorowy ład i nieznana gdzieindziej dyscyplina; wszędy roiło się od rycerstwa z pod różnych chorągwi: pancernych, dragańskich, kozackich, tatarskich i wołoskich, pod którymi służyło nie tylko całe Zadnieprze, ale i ochocza szlachta ze wszystkich okolic Rzpltej. Kto się chciał w prawdziwej rycerskiej szkole wyćwiczyć, ten ciągnął

do Łubniów; nie brakło więc tam obok Rusinów, ani Mazurów, ani Litwy, ani Małopolan, ba! nawet i Prusaków. Piesze regimenty i artylerya, czyli tak zwany »lud ognisty«, złożone były przeważnie z wyborowych Niemców, najętych na żold wysoki; w draganach służyli głównie miejscowi, Litwa w tatarskich chorągwiach, a Małopolanie garnęli się najchętniej pod znaki pancerne. Książę nie pozwalał też gnuśnieć rycerstwu; dlatego w obozie panował ruch ustawiczny. Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i pałanek, inne wchodziły do stolicy; po całych dniach odbywały się musztry i ćwiczenia. Czasem też, chociaż i spokojnie było od Tatar, książę przedsiębrał dalekie wyprawy w głuche stepy i pustynie, by żołnierzy do pochodów przyuczyć, dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł, i roznieść sławę swego imienia. Tak zeszłej jesieni zapuścił się lewym brzegiem Dniepru do Kudaku, gdzie go pan Grodzicki, trzymający prezydium, jak monarchę udzielnego przyjmował; potem pociągnął obok Porohów aż do Chortycy, i na uroczyszczu Kuczkasów kazał mogiłę wielką z kamieni usypać na pamiątkę i na znak, że tamtą stroną żaden jeszcze pan nie bywał tak daleko <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Są to słowa Maszkiewicza, który mógł nie wiedzieć o bytności Samuela Zborowskiego na Siczy.

Pan Bogusław Maszkiewicz, żołnierz dobry, choć młody, a zarazem człowiek uczony, który tę wyprawę, również jak i inne pochody książęce opisał, cuda o niej opowiadał Skrzetuskiemu, co pan Wołodyjowski zaraz potwierdzał, gdyż i on brał udział w wyprawie. Widzieli tedy Porohy i dziwili im się, a zwłaszcza straszniemu Nienasytcowi, który rok rocznie, jak ongi Scylla i Charybda, po kilkadziesięciu ludzi pożerał. Potem puścili się na wschód, na spalone stepy, gdzie od niedogarków jazda postępować nie mogła, i aż musieli koniom nogi skórami obwijać. Spotkali tam mnóstwo gadzin, padalców i olbrzymie węże polozy, na dziesięć łokci długie, a grube jak ramię męża. Po drodze na samotnych dębach ryli *pro aeterna rei memoria* herby książęce, nakoniec zaszli w tak głuche stepy, gdzie już i śladów człowieka nie było można dopatrzeć.

— Myślałem, — mówił uczony pan Maszkiewicz — że nam w końcu na wzór Ulisesa i do Hadu zstąpić przyjdzie.

Na to pan Wołodyjowski:

— Przysięgali też ludzie z pod chorągwi pana strażnika Zamojskiego, która szła na przodku, jako już widzieli owe *fines*, na których *orbis terrarum* się kończy.

Namiestnik opowiadał wzajemnie towarzyszom o Krymie, gdzie prawie pół roku spędził,

czekając na respons chana jegomości, o tamtejszych miastach, pozostałych z dawnych czasów, o Tatarach i o potędze ich wojennej, a na koniec o postrachu, w jakim żyli, usłyszawszy o walnej na Krym wyprawie, w której wszystkie siły Rzeczypospolitej miały wziąć udział.

Tak gwarząc co wieczór, oczekiwali powrotu księcia; tymczasem namiestnik przedstawiał co bliższym towarzyszom pana Longina Podbiłę, który, jako człek słodki, odrazu pozyskał serca, a okazawszy przy próbach z mieczem nadludzką swą siłę, powszechny sobie zjednywał szacunek. Opowiedział on już temu i owemu o przodku Stowejce i o ściętych trzech głowach, zamileczał tylko o swoim ślubie, nie chcąc się na żarty narażać. Szczególnie podobali się sobie z Wołodyjowskim, a to dla zobopólnej serc czułości; po kilku też dniach chodzili razem wzdychać na waly, jeden do gwiazdki za wysoko świecącej, by ją mógł dostać, *alias* do księżniczki Anny — drugi do nieznanej, od której go trzy ślubowane głowy oddzielały.

Ciągnął nawet Wołodyjowski pana Longina do draganów, ale Litwin postanowił sobie koniecznie zapisać się pod znak pancerny, by pod Skrzetuskim służyć, o którym z rozkoszą dowiedział się w Łubniach, że wszyscy mają go za rycerza pierwszej wody i jednego z najlepszych oficerów książęcych. A właśnie w cho-

ragwi, w której pan Skrzetuski porucznikował, otwierał się wakans po panu Zakrzewskim, przewiskiem »Miserere mei«, który od dwóch tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei życia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci powiększały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączał się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dzień ani pięćdziesiąt od jego wezglowia, pocieszając go jak umiał i krzepiąc go nadzieją, że jeszcze jedną wyprawę razem odbędą.

Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardem łożu rycerskiem, obciągniętem końską skórą, i z uśmiechem prawie dziecinny spoglądał na krucyfiks, zawieszony nad łożem. Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— *Miserere mei*, mości poruczniku, już ja sobie idę po swoją łafę niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy święty Piotr, który jest marszałkiem Bożym i ochędóstwa w niebie doglądać musi, puści mnie do raju w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: »Święty Pietruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czyńże mi wstrętu boć to poganie tak mi popsowali szatki cielesne... *Miserere mei!* a będzie jaka wyprawa, św. Michała na potencją piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze.«

Więc porucznik, choć jako żołnierz tyle razy śmierć oglądał i sam ją zadawał, nie mógł lez wstrzymać, słuchając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.

Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i cerkwiach lubniańskich, zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego. Tegoż dnia książę z Sieńczy przyjechał, a z nim panowie Bodzyński i Lassota, oraz cały dwór i dużo szlachty w kilkudziesięciu kolaskach, bo zjazd u pana Suffczyńskiego był niezmierny. Książę wyprawil wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Asystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty, stojące w Łubniach, na walach bito z hakownic i rusznic. Kawalerya szła od zamku aż do kościoła farnego w mieście bojowym ordynkiem, ale ze zwiniętymi banderyami; za nią piesze regimenty z kolbami do góry. Sam książę, przybrany w żałobę, jechał za trumną w pozłocistej karecie, zaprzężonej w ośm białych jak mleko koni, mających grzywy i ogony pofarbowane na ponsowo i kiście strusich piór czarnej barwy na głowach. Przed kolaską postępował oddział janczarów, stanowiących przyboczną straż książęcą, tuż za kolaską paziowie przybrani z hiszpańska na dzielnych koniach, dalej wysocy urzędnicy dworscy, dworzanie rękodajni, poko-

jowey, nakoniec hajducy i pajucy. Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumnę mową, poczynając się od słów: »Dokąd tak śpieszysz, mości Zakrzewski?« Potem przemawiało jeszcze kilku z towarzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzechnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła, i tu dopiero zabral glos najwymowniejszy z wymownych: ksiądz Jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnio i ozdobnie, że sam księżę zapłakał. Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierzów ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, laskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał nietylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać. Dla buntów straszny i niemilosierny, był jednak prawdziwym dobrodziejem nietylko szlachty, ale i całego swego ludu. Gdy w czterdziestym szóstym roku szarańcza zniszczyła plony, to czynszownikom za cały rok czynsz odpuścił, poddanym kazał wydawać zboże ze śpiechlerzów, a po pożarze w Chorolu wszystkich mieszczan przez dwa miesiące swoim kosztem żywił. Dzierżawcy i podstarościowie w ekonomiach drżeli, by do uszu księcia wieść o jakowych nadużyciach lub krzywdach ludowi czynionych nie doszła. Sierotom taka była opieka



zapewniona, że przezywano je na Zadnieprzu »książęciami detynami«. Czuwała nad tem sama księżna Gryzelda, przy pomocy ojca Muchowieckiego. Ład tedy panował we wszystkich ziemiach książęcych, dostatek, sprawiedliwość, spokój, ale i strach, bo w razie najmniejszego oporu nie znalazł książę miary w gniewie i karaniu, tak w jego naturze łączyła się wspaniałość ze srogością. Ale w owych czasach i w owych krainach tylko ta srogość pozwalała się krzewić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie, rolnik wziął górę nad hajdamaką, kupiec spokojnie towar swój prowadził, dzwony spokojnie wzywały wiernych na modlitwę, wróg nie śmiał granicy przestąpić, kupy łotrów ginęły na palach, lub zmieniały się w rządnych żołnierzy, a kraj pustynny rozkwitał.

Dzikiej krainie i dzikim mieszkańcom takiej potrzeba było ręki, na Zadnieprze bowiem szły najniespokojniejsze z Ukrainy żywioły, ciągnęli osadnicy nęceni rolą i żyznością ziemi, zbiegli chłopci ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej, przestępcy uciekający z więzień, słowem, jakoby rzekł Livius: »pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis«. Utrzymać ich w ryzie, zmienić w spokojnych osadników i wtłoczyć w karby osiadłego życia mógł tylko taki lew, na którego ryk drżało wszystko.

Pan Longinus Podbipięta, pierwszy raz w życiu księcia na pogrzebie ujrzawszy, własnym oczom uwierzyć nie mógł. Słyszac bowiem tyle o sławie jego, wyobrażał sobie, że musi to być jakiś olbrzym, o głowę rodzaj ludzki przewyższający, a tymczasem książę był wzrostu prawie małego i dość szczupły. Młody był jeszcze, liczył dopiero trzydziesty szósty rok życia, ale na twarzy jego widne już były trudy wojenne. O ile bowiem w Łubniach żył jak król prawdziwy, o tyle w czasie licznych wypraw i pochodów dzielił niewczasy prostego towarzysza, jadł czarny chleb i sypiał na ziemi na wojłoku, a że większa część życia schodziła mu na pracach obozowych, więc odbiły się one na jego twarzy. Wszelako oblicze to na pierwszy rzut oka wskazywało nadzwyczajnego człowieka. Malowała się w nim żelazna, nieugięta wola i majestat, przed którym każdy mimowoli musiał uchylić głowy. Widać było, że ten człowiek zna swoją potęgę i wielkość — i gdyby mu jutro włożyć koronę na głowę, nie czułby się ani zdziwionym, ani przygniecionym jej ciężarem. Oczy miał duże, spokojne, prawie słodkie, jednakże gromy zdawały się być w nich uspięne, i czuleś, że biada temu, ktoby je rozbudził. Nikt też znieść nie mógł spokojnego blasku tego spojrzenia, i widywano posłów, wytrawnych dworaków, którzy, stanąwszy przed Jeremim, miesza-  
li

się i nie umieli zacząć dyskursu. Był to zresztą na swoim Zadnieprzu król prawdziwy. Z kancelaryi jego wychodziły przywileje i nadania: »My po Bożej myłości kniaź i hospodyn« etc. Nie wielu też i panów za równych sobie poczytywał. Kniaziowie z krwi dawnych władców bywali u niego marszałkami. Takim był w swoim czasie i ojciec Heleny, Wasil Bulyha Kurcewicz, który to ród przecie, jak się wyżej wspomniało, wyprowadzał się od Koryata, a w samej rzeczy od Ruryka pochodził.

Było w księciu Jeremim coś, co mimo wrodzonej mu łaskawości trzymało ludzi w oddaleniu. Kochając żołnierzów, on sam poufalił się z nimi; z nim nikt nie śmiał się poufalić. A jednakże rycerstwo, gdyby mu kazał konno w przepaście dniewprowe skoczyć, uczyniłoby to bez wahania.

Po matce, Wołoszce, odziedziczył on cerę białą, tą białością rozpalonego żelaza, od której żar bije, i czarny jak skrzydło kruka włos, który na całej głowie podgolony, z przodu tylko spadał bujniej i, obcięty nad brwiami, zasłaniał mu połowę czoła. Nosił się po polsku, o ubiór niezbyt dbał i tylko na wielkie uroczystości nakładał szaty kosztowne, ale wówczas świecił cały od złota i kamieni. Pan Longin w kilka dni później był obecny na takiej uroczystości, gdy książę dawał posłuchanie p. Rozwanowi

Ursu. Audyencye posłów odbywały się zawsze w sali tak zwanej niebieskiej, gdyż na jej suficie firmament niebieski, wraz z gwiazdami, pendzlem Gdańszczanina Helma był wyobrażony. Zasiadał tedy książę pod baldachimem z aksamitu i gronostajów, na wyniosłem krześle, do tronu podobnem, którego podnózek był blachą pozłocistą obity, za księciem zaś stał ksiądz Muchowiecki, sekretarz, marszałek kniaź Woronicz, pan Bogusław Maszkiewicz, dalej paziowie i dwunastu trabantów z halabardami, przybranych po hiszpańsku; głębie sali przepelnione były rycerstwem w świetnych strojach i ubiorach. Pan Rozwan prosił w imieniu hospodara, by książę swym wpływem i grozą imienia wyrobił u chana zakaz Tatarom budziackim wpadania do Wołoszczyzny, w której corocznie straszliwe szkody i spustoszenia czynili, na co książę odpowiedział piękną łaciną, że Budziaccy nie bardzo samemu chanowi byli posłuszni, że jednakże, gdy na kwiecień spodziewa się Czausa murzy, posła chanowego u siebie, będzie przez niego upominał się u chana o krzywdy wołoskie. Pan Skrzetuski poprzednio już zdał relacyę ze swego poselstwa i podróży, oraz ze wszystkiego, co słyszał o Chmielnickim i jego na Sicz ucieczce. Książę postanowił posunąć kilka pułków ku Kudakowi, ale nie przywiązywał wielkiej do tej sprawy wagi. Tak więc, gdy nie nie zdawało

się zagrażać spokojowi i potędze zadnieprzańskiego państwa, rozpoczęły się w Łubniach uroczystości i zabawy, tak z powodu bytności posła Rozwana, jak i dlatego, że panowie Bodzyński i Lassota oświadczyli się wreszcie uroczystie, w imieniu wojewodzica Przyjemskiego, o rękę starszej księżniczki Anny, na którą prośbę otrzymali i od księcia i od księżny Gryzeldy odpowiedź pomyślną.

Jeden tylko mały Wołodyjowski cierpiał nad tem niemało, a gdy Skrzetuski próbował włożyć mu otuchę w serce, odpowiedział:

— Dobrze tobie, bo gdy jeno zechcesz, Anusia Borzobohata cię nie minie. Już tu ona o tobie bardzo wdzięcznie przez cały czas wspominała; rozumiałem z początku, iż w tej myśli, by zazdrość w Bychowcu *excitare*, ale widzę, że chciała go na hak przywieść i chyba dla ciebie jednego czulszy w sercu żywi sentyment.

— Co tam Anusia! Wróć-że sobie do niej — *non prohibeo*. Ale o księżniczce Annie przestań myśleć, gdyż to jest to samo, jakbyś chciał feniksa czapką na gnieździe przykryć.

— Wiem ci to, że ona jest feniksem, i dlatego z żalu po niej pewnie umrzeć mi przyjdzie.

— Żyw będziesz i wraz się zakochasz, byle jeno nie w księżniczce Barbarze, bo ci ją drugi wojewodzie z przed nosa sprzątnie.

— Zali serce jest pacholkiem, któremu roz-

kazać można? zali oczom zabronisz patrzeć na tak cudną istotę, jak księżniczka Barbara, której widok dzikie nawet bestye poruszyć byłby zdolny?

— Masz dyable kubrak! — wykrzyknął pan Skrzetuski. — Widzę, że się bez mojej pomocy pocieszysz, aleć to powtarzam: wróć do Anusi, bo z mojej strony żadnych impedymentów mieć nie będziesz.

Anusia jednak ani myślała rzeczywiście o Wołodyjowskim. Natomiast drażniła ją, zaciekawiała i gniewała obojętność pana Skrzetuskiego, który, wróciwszy po tak długiej nieobecności, prawie na nią nie spojrzał. Wieczorami tedy, gdy książę z co przedniejszymi oficerami i dworzany przychodził do bawialnej komnaty księżny, by zabawić się rozmową, Anusia, wyglądając z za pleców swej pani (bo księżna była wysoka, a Anusia niska), świdrowała swemi czarnemi oczkami w twarzy namiestnika, chcąc mieć rozwiązanie tej zagadki. Ale oczy Skrzetuskiego, również jak myśl, błędziły gdzieindziej, a gdy wzrok jego padał na dziewczynę, to taki zamysłony i szklany, jak gdyby nie na tę patrzył, do której śpiewał niegdyś:

„Jak tatarska orda,  
Bierzesz w jassy *corda!*...”

„Co mu się stało?” — pytała sama siebie rozpieszczona faworytka całego dworu i, tupiąc

drobną nóżką, czyniła postanowienie rzecz tę zbadać. Nie kochała się ona wprawdzie w Skrzetuskim, ale przyzwyczajwszy się do holdów, nie mogła znieść, by na nią nie zważano, i gotowa była ze złości sama się rozkochać w zuchwalecu.

Razu tedy jednego, biegnąc z motkami dla księżny, spotkała pana Skrzetuskiego, wychodzącego z przyległej sypialnej komnaty księżcej. Naleciała na niego jak burza, prawie go potraćila piersią i, cofnąwszy się nagle, rzekła:

— Ach! jakim się przestraszyła! Dzień dobry waćpanu!

— Dzień dobry pannie Annie! Czyliż takowe *monstrum* ze mnie, bym aż miał pannę Annę przestraszać?

Dziewczyna stała ze spuszczonei oczkami, kręcąc palcami niezajętej ręki końce warkoczów, przestępując z nóżki na nóżkę i, niby zmieszana, odpowiedziała z uśmiechem:

— E nie! to to nie... wcale nie... jak matkę kocham!

Nagle spojrzała na porucznika i znów zaraz spuściła oczy.

— Czy się waćpan gniewasz na mnie?

— Ja? Alboż panna Anna dba o mój gniew?

— Co prawda, to nie. Miałabym też o co dbać! Może waćpan myślisz, że zaraz będę płakała? Pan Bychowiec grzeczniejszy...

— Jeśli tak, to nie pozostaje mnie nic in-



nego, tylko ustąpiwszy pola panu Bychowcowi, zéjść z oczu panny Anny.

— A czy ją trzymam?

To rzekłszy, Anusia zastąpiła mu drogę.

— To waćpan z Krymu powraca? — spytała.

— Z Krymu.

— A co waćpan z Krymu przywiózł?

— Przywiozłem pana Podbipiętę. Wszakże go panna Anna widziała? Bardzo miły i stateczny kawaler.

— Pewnie, że miłszy od waćpana. A poco on tu przyjechał?

— By panna Anna miała na kim swojej mocy popróbować. Aleć radzę ostro się brać, bo wiem jeden sekret o tym kawalerze, dla którego jest on niezwyciężony... i nawet panna Anna z nim nie wskóra.

— Dlaczegoż to on jest niezwyciężony?

— Bo się nie może żenić.

— A co mnie to obchodzi! Czemuż to on nie może się żenić?

Skrzetuski pochylił się do ucha dziewczyny, ale rzekł bardzo głośno i dobitnie:

— Bo czystość ślubował.

— Niemądryś waćpan! — zawołała prędko Anusia i w tejże chwili furknęła jak ptak spłoszony.

Tego wieczoru jednak popatrzała pierwszy raz uważniej na pana Longina. Gości dnia tego

było niemało, bo księżę wyprawiał pożegnalną ucztę dla pana Bodzyńskiego. Nasz Litwin, przybrany starannie w biały atlasowy żupan i ciemnoniebieski aksamitny kontusz, wyglądał bardzo okazale, tembardziej, że przy boku zamiast katowskiego Zerwikaptura zwieszała mu się lekka, krzywa szabla, w pozłocistej pochwie.

Oczki Anusi strzelały na pana Longina potrochu umyślnie, na złość panu Skrzetuskiemu. Byłby tego jednakże namiestnik nie zauważył, gdyby nie Wołodyjowski, który trąciwszy go łokciem, rzekł:

— Niechże mnie jasyr spotka, jeśli Anusia nie wdzięczy się do chmielowej tyczki litewskiej.

— Powiedzże to jemu samemu.

— Pewnie że powiem. Dobrana będzie z nich para.

— Będzie ją mógł nosić zamiast spinki u żupana, taka właśnie jest między nimi proporcya.

— Albo zamiast kitki na czapce.

Wołodyjowski podszedł do Litwina:

— Mospanie! — rzekł: — niedawno jakeś tu przybył, ale frant widzę z waści nielada.

— A to czemu, brateńku dobrodzieju? a to czemu?

— Boś nam tu najgładszą dziewczkę z frau-cymeru już zbałamucil.

— Dobrodzieju! — rzekł Podbipięta, składając ręce: — co waćpan mówisz najlepszego?

— Spójrzyj waszmość na pannę Annę Borzobohatą, w której się tu wszyscy kochamy, jak to ona na waści dziś oczkiem strzyże. Pilnuj się jeno, żeby z waści dudka nie wystrzygła, jako z nas powystrzygala.

To rzekłszy, Wołodyjowski zakręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając pana Longina w zdumieniu. Nie śmiał on nawet zrazu spojrzeć w stronę Anusi i po niejakim dopiero czasie rzucił znienacka okiem — ale aż zadrżał. Z poza ramienia księżny Gryzeldy dwoje jarzących ślepków patrzyło na niego istotnie z ciekawością i uporem. »Apage, satanas!« — pomyślał Litwin i, oblawszy się jak żaczek rumieńcem, uciekł w drugi kąt sali.

Jednakże pokusa była ciężka. Ten szatanek, wyglądający z za pleców księżny, tyle miał ponęt, te oczki tak świeciły jasno, że pana Longina aż ciągnęło coś, by w nie choć jeszcze raz tylko spojrzeć. Ale wtem wspomniął na swój ślub, w oczach stanął mu Zerwikaptur, przodek Stowójko-Podbipięta, trzy ścięte głowy, i strach go zdjął. Przeżegnał się i tego wieczoru nie spojrział więcej.

Natomiast rankiem nazajutrz przyszedł na kwaterę Skrzetuskiego.

— Panie namiestniku, a prędko pociągniemy? Co też tam waszmość słyszał o wojnie?

— Przypiliło waści. Bądźże cierpliwy, póki się pod znak nie zaciągniesz.

Pan Podbipięta bowiem nie był jeszcze zapisany na miejsce zmarłego Zakrzewskiego. Musiał czekać z tem aż ćwierć wyjdzie, co miało nastąpić dopiero pierwszego kwietnia.

Ale było mu rzeczywiście pilno, dlatego pytał namiestnika w dalszym ciągu:

— A nic-że J. O. Książę w tej materji nie mówił?

— Nic. Król pono do śmierci nie przestanie o wojnie myśleć, ale Rzeczpospolita jej nie chce.

— A mówili w Czehrynie, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno ślub dolega. Co do rebelii, wiedz-że, iż jej przed wiosną nie będzie, bo choć to zima lekka, aleć zima zimą. Mamy dopiero 15 *februarii*, lada dzień mrozy jeszcze mogą nastać, a kozak w pole nie rusza, póki się nie może okopać, bo oni za wałem biją się okrutnie, w polu zaś nie umieją dotrzymać.

— Tak i trzeba czekać nawet na kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebelii swoje trzy głowy znalazł, to nie wiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, boć co innego Krzyżacy lub Turcy, a co innego swoi — jakoby rzec, dzieci *ejusdem matris*.

— O wielki Boże! O toś mi waćpan sęka w głowę zadał! Ot desperacya! Niechże mnie

ksiądz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. *Bellum civile* to wojna braci.

— A gdyby rebelizantom obca potęga na pomoc przysłała?

— Tedy miałbyś pole. Ale teraz jedno mogę waści zalecić: czekaj i bądź cierpliwy.

Jednakże pan Skrzetuski sam nie umiał pójść za tą radą. Ogarniała go tęskność coraz większa, nudziły go uroczystości dworskie i te twarze, na które dawniej tak mile spoglądał. Pannie Bodzyński, Lassota i pan Rozwan Ursu wyjechali wreszcie, a po ich wyjeździe nastął spokój głęboki. Życie zaczęło płynąć jednostajnie. Książę zajęty był lustracyami dóbr ogromnych i co rano zamykał się z komisarzami, nadjeżdżającymi z całej Rusi i z Sandomierskiego — więc nawet i ćwiczenia wojskowe rzadko tylko mogły się odbywać. Gwarne uczty oficerskie, na których rozprawiano o przyszłych wojnach, nużyły niewymownie Skrzetuskiego, więc z guldynką na ramieniu uciekał nad Solonice, gdzie ongi Żółkiewski tak strasznie Nalewajkę, Łobodę i Krępskiego pogromił. Ślady owej bitwy już się były zatarły i w pamięci ludzkiej, i na pobojoisku. Czasem tylko jeszcze ziemia wyrzucała z łona zbielełe kości, a za

wodą sterczał nasyp kozacki, z poza którego bronili się tak rozpaczliwie Zaporozcy Łobody i Nalewajkowa wolnica. Ale już i na nasypie puścił się gęsto gaj zarośli. Tam to Skrzetuski chronił się przed gwarem dworskim i zamiast strzelać do ptaków, rozpamiętywał; tam to przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanej dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc, doznawał ulgi we własnej tęsknocie.

Ale później jęły padać obfite, zapowiadające wiosnę deszcze. Solonica zamieniła się w topielisko, głowy z pod dachu trudno było wychylić, więc namiestnik i tej pociechy, jaką znajdował w blakaniu się samotnem, został pozbawiony. A tymczasem wzrastał jego niepokój — i słusznie. Miał on z początku nadzieję, że Kurcewiczowa z Heleną, jeśli tylko kniahyni potrafi wyprawić Bohuna, zjadą zaraz do Łubniów, a teraz i ta nadzieja zgasła. Slota zepsuła drogi, step na kilka mil, po obu brzegach Suly, stał się ogromnem bagniskiem, na którego przebycie trzeba było czekać, póki wiosenne gorące słońce nie wysie zbytku wód i wilgoci. Przez cały ten czas Helena miała pozostawać pod opieką, której Skrzetuski nie ufał, w prawdziwym wilczem gnieździe, wśród ludzi nieokrzesanych, dzikich, a Skrzetuskiemu niechętnych. Wpraw-

dzie dla własnego dobra powinni mu byli słowa dotrzymać — i prawie nie mieli innej drogi — ale któż mógł odgadnąć, co wymyślą, na co się odważą, zwłaszcza gdy ciążył nad nimi straszliwy watażka, którego widocznie i kochali, i bali się jednocześnie. Łatwoby mu przyszło i zmusić ich do oddania mu dziewczyny, bo nierzadkie były i podobne wypadki. Tak samo swego czasu towarzyszył nieszczęsnego Nalewajki, Łoboda, zmusił p. Poplińską, by mu oddała za żonę swą wychowaną, choć dziewczyna była szlachcianką dobrego rodu i chociaż z całej duszy nienawidziła watażki. A jeśli było prawdą, co mówiono o niezmiernych bogactwach Bohuna, to przecie mógł im i dziewczynę i utratę Rozlogów zapłacić. A potem co? Potem — myślał p. Skrzetuski — doniosą mi szyderczo, że jest »po harapie«, a sami umkną gdzieś w puszcze litewskie lub mazowieckie, gdzie ich nawet książęca potężna ręka nie dosięgnie. Pan Skrzetuski trząsł się jak w febrze na tę myśl, targał się jak wilk na łańcuchu, żałował swego rycerskiego słowa danego kniahyni — i nie wiedział, co ma począć. A był to człowiek, który nierad pozwalał się ciągnąć za brodę wypadkom. W jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energia. Nie czekał on na to, co mu los zdarzy; wołał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał fortunnie — dlatego trudniej mu



było niż komu innemu siedzieć z założonemi rękoma w Łubniach.

Postanowił więc działać. Miał on pacholika Rzędziana, szlachcica chodaczkowego z Podlasia, lat szesnastu, ale franta kutego na cztery nogi, z którym niejeden stary wyga nie mógł iść o lepsze, i tego postanowił wysłać do Heleny, oraz na przespiegi. Skończył się też już był luty; deszcze przestały lać, marzec zapowiadał się dość pogodnie i drogi musiały się nieco poprawić. Wybierał się więc Rzędzian w drogę. Pan Skrzetuski zaopatrzył go w list, papier, pióra i flaszkę inkaustu, której kazał mu jak oka w głowie pilnować, bo pamiętał, że tych rzeczy niemasz w Rozłogach. Miał także chłopak polecone, by nie powiadał od kogo jest, by udawał, że do Czehryna jedzie, i pilne na wszystko zwracał oko, a zwłaszcza wywiedział się dobrze o Bohunie, gdzie jest i co porabia. Rzędzian nie dał sobie dwa razy instrukcyi powtarzać, czapkę na bakier nasunął, nahajem świsnął i pojechał.

Dla pana Skrzetuskiego rozpoczęły się ciężkie dni oczekiwania. Dla zabicia czasu ścinał się w palcaty z panem Wołodyjowskim, wielkim mistrzem w tej sztuce, lub dziirytem do pierścienia rzucal. Zdarzył się też w Łubniach wypadek, którego namiestnik o mało zdrowiem nie przyplacił. Pewnego dnia niedźwiedź, ze-

rwawszy się z łańcucha, na podwórcu zamkowym poszczerbił dwóch masztalerzy, popłoszył konie pana komisarza Chlebowskiego i nakoniec rzucił się na namiestnika, który szedł właśnie z cekhauzu do księcia, bez szabli przy boku, mając w ręku tylko lekki nadziak z mosiężną główką. Namiestnik byłby zginał niezawodnie, gdyby nie pan Longin, który, ujrawszy z cekhauzu co się dzieje, porwał za swój Zerwikaptur i przybiegł na ratunek. Pan Longin okazał się w zupełności godnym potomkiem przodka Stowejki, gdyż w oczach całego dworu odwalił jednym zamachem łeb niedźwiedziowi wraz z łapą, który to dowód nadzwyczajnej siły podziwiał z okna sam książę i wprowadził następnie pana Longina do pokojów księżny, gdzie Anusia Borzobohata tak wabiła go oczkiem, że nazajutrz musiał iść do spowiedzi i następnie przez trzy dni nie pokazywał się w zamku, póki żarliwą modlitwą wszelkich pokus nie odpędził.

Tymczasem upłynęło dni dziesięć, a Rzędziana nie było widać z powrotem. Nasz pan Jan schudł z oczekiwania i tak wymizerniał, że aż Anusia poczęła się wypytywać przez posły, co mu jest — a Carboni, doktor książęcy, zapisał mu jakąś dryakiew na melancholię. Ale innej on dryakwi potrzebował, gdyż dniem i nocą o swojej kniaziównie rozmyślał — i czuł

coraz mocniej, że to nie żadne płoche uczucie zagnieździło się w jego sercu, ale miłość wielką, która musi być zaspokojona, bo inaczej pierś ludzką, jak słabe naczynie, rozsadzić gotowa.

Łatwo więc sobie wyobrazić radość pana Jana, gdy pewnego dnia o świcie wszedł do jego kwatery Rzędzian zablocony, zmęczony, wymi-  
zerowany, ale wesół i z dobrą wieścią, wypisana na czole. Namiestnik, jak się zerwał prosto z łoża, tak przybiegłszy do niego, chwycił go za ramiona i krzyknął:

— Listy masz?

— Mam, panie. Oto są.

Namiestnik porwał i zaczął czytać. Długi czas wątpił, czy mu nawet w razie najpomyślniejszym Rzędzian list przywiezie, gdyż nie był pewny, czy Helena pisać umie. Kresowe niewiasty nie bywały uczone, a Helena chowała się do tego między prostytutkami. Jednakże widocznie ojciec nauczył ją jeszcze tej sztuki, gdyż skreśliła długi list na cztery strony papieru. Biedaczka nie umiała wprawdzie wyrażać się ozdobnie, retorycznie, ale wprost od serca pisała, co następuje:

»Już ja waćpana nigdy nie zapomnę, waćpan mnie prędeż, bo slysze, że są i płosi między wami. Ale gdyś pacholika umyślnie tyle mil drogi przysłał, to widać,

żem ci miła, jak i ty mnie, za co-ć sercem wdzięcznem dziękuję. Nie myśl też waćpan, aby to nie było przeciw skromności mojej, tak ci o tem kochaniu pisać, ale snadź lepiej już prawdę powiedzieć, niż zgłęcać, albo ją ukrywać, gdy zgola co innego jest w sercu. Wypytywałam też Imć Rzędziana co w Łubniach porabiasz i jakie są wielkiego dworu obyczaje, a gdy mnie o urodzie i gładkości tamtejszych panien powiadał, prawie że łzami od wielkiego smutku się zalałam...«

Tu namiestnik przerwał czytanie i spytał Rzędziana:

— Coś ty tam, kpie, powiadał?

— Wszystko dobrze, panie! — odpowiedział

Rzędzian.

Namiestnik czytał dalej:

»...Bo jakże mnie prostaczce porównywać się z niemi. Ale powiedział mi pacholek, iż waćpan na żadną i patrzeć nie chcesz...«

— Toś dobrze powiedział! — rzekł namiestnik.

Rzędzian nie wiedział wprawdzie o co idzie, bo namiestnik czytał list pocichu, ale zrobił mądrą minę i chrząknął znacząco. Skrzetuski zaś czytał dalej:

»...I zaraz pocieszyłam się, prosząc Boga, by cię nadal w takowej dla mnie życzliwości utrzymał i obojgu nam błogosławił — amen. Jużem się tak też za waćpanem stęskniła, jako właśnie za matką, bo mnie sierocie smutno na świecie, ale nie przy waćpanu... Bóg patrzy na moje serce, że jest czyste, a co innego jest prostactwo, które mnie wybaczyć musisz...»

W dalszym ciągu donosiła śliczna kniaziówna, że do Łubniów ze stryjenką wyjadą, jak tylko drogi będą lepsze, i że sama kniahyni chce wyjazd przyśpieszyć, gdyż z Czehryna dochodzą wieści o jakichś niespokojnościach kozackich, czeka więc tylko na powrót młodych kniaziów, którzy do Bogusławia, na jarmark koński, pojechali.

»Prawdziwy z waćpana czarownik, — pisała dalej Helena — żeś sobie i stryję zjednać umiał«.

Tu namiestnik uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jakimi to sposoby musiał tę stryję zjednywać. List kończył się zapewnieniami stałej a pocziwej miłości, jaką właśnie przyszła żona mężowi winna. Wogóle zaś przeglądało z niego istotnie serce czyste, dlatego też na-

— Dziękuję pokornie jegomości. Oni też Bohuna do Perejasławia zaraz wyprawili, więc jakem się o tem dowiedział, tak sobie myślę: czemu bym i ja nie miał do Perejasławia dotrzeć? Będzie ze mnie pan kontent, to mnie barwa prędzej dojdzie...

— Dojdzie cię na nową ćwierć. To byleś i w Perejasławiu?

— Byłem. Alem Bohuna tam nie znalazł. Stary pułkownik Łoboda chory. Mówią, że rychło po nim Bohun pułkownikiem zostanie... Ale tam się dzieje coś dziwnego. Semenów ledwie garść przy chorągwi została — reszta, mówią, za Bohunem pociągnęła, czy też na Sicz zbiegła, i to jest, mój jegomość, ważna rzecz, bo tam się podobno jakaś rebelia knuje. Chciałem się koniecznie czegoś dowiedzieć o Bohunie, aleć tylko tyle mi powiedziano, że się na ruski brzeg <sup>1)</sup> przeprawił. A no! myślę sobie: kiedy tak, to nasza panienska od niego bezpieczna — i wróciłem.

— Dobrześ się sprawił. A przygody jakiej w podróży nie miałeś?

— Nie, mój jegomość, jeno mi się jeść okrutnie chce.

Rzędzian wyszedł, a namiestnik, zostawszy sam, zaczął nanowo odczytywać list Heleny

---

<sup>1)</sup> Prawy brzeg Dniepru nazywano ruskim, lewy tatarskim.

i do ust przyciskać te literki, nie tak kształtne jak ręka, która je kreśliła. Ufność wstąpiła mu w serce, i myślał sobie: »Nieza długo drogi podeschną, byle Bóg dał pogodę. Kurcewicze też, dowiedziawszy się, że Bohun hołysz, pewnie mnie już nie zdradzą. Puszczę im Rozłogi i jeszcze swego dołożę, byle onej kochanej gwiazdki dostać...«

I przybrawszy się, z jaśniejącą twarzą, z pełną od szczęścia pierśią, szedł do kaplicy, by Bogu naprzód za dobrą nowinę pokornie podziękować.

BIBLIOTEKA CEJANZKA





